

ŻYCIE GOSPODARCZE

6 LUTEGO 1977 R.

NR 6 (1325) ROK WYD. XXXII

TYGODNIK SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

CENA 4 ZŁ



ZGODNIE Z POTRZEBAMI KONSUMENTA

ZOFIA DŁUGOSZ

str. 1

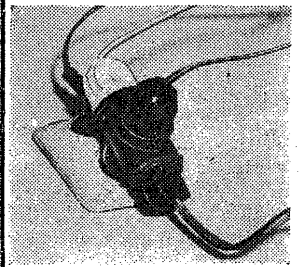
POCZĄTEK PRZEGRUPOWANIA SIŁ I ŚRODKÓW W SKOMPLIKOWANYCH WARUNKACH ZEWNĘTRZNYCH I WEWNĘTRZNYCH

KONIUNKTURA

str. 1

WAT DO WATA...

ANDRZEJ
NAŁĘCZ-JAWECKI str. 9



Dziwne podróże żłomu

JANUSZ ZBIERAJEWSKI

str. 8



PARTNERZY ROLNICTWA

MARCIN MAKOWIECKI

str. 6



Polityka społeczna w pięciolatce

Rozmowa
ze ZDZISŁAWĄ
CZYŻOWSKĄ

str. 3

Więcej większych mieszkań

TADEUSZ ŻARSKI

str. 7



koniunktura

PO PIERWSZYM ROKU PIĘCIOŁATKI

Opublikowany w ubiegłym tygodniu komunikat GUS o wykonaniu Narodowego Planu Społeczno-Gospodarczego w r. 1976 zawiera najważniejsze dane dotyczące rozwoju gospodarki w pierwszym roku bieżącego planu pięcioletniego. Dane te tworzą obraz złożony — obok wielu tendencji pozytywnych występują i zjawiska mniej korzystne. Do najważniejszych tendencji pozytywnych trzeba zaliczyć rozpoczęcie procesu przegrupowywania sił i środków zgodnie z nowymi priorytetami społeczno-gospodarczymi. Zjawiska, będące głównym źródłem trudności — to spadek produkcji zwierzęcej w rolnictwie, niepełne wykonanie planu przez transport kolejowy i przez handel zagraniczny oraz niepełne wykonanie zadań rzeczowych w dziedzinie oddawania nowych inwestycji do użytku.

DOCHÓD NARODOWY wytworzony wzrósł o około 7,5 proc. Jest to tempo wysokie, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę, że nastąpił spadek produkcji czystej w rolnictwie. Danych dotyczących podziału dochodu narodowego jeszcze nie ma, ale można szacować, że wobec niższego (od wzrostu dochodu narodowego wytworzonego) wzrostu nakładów inwestycyjnych — ich stopa uległa obniżeniu, zgodnie ze strategią założoną na pięciolatek 1976-1980.

Przeciętna płaca nominalna wzrosła o 8,5 proc., a realna o 3,8 proc., wzrost kosztów utrzymania wyniósł więc około 4,5 proc. Szybciej niż dochody z tytułu płac rosły wypłaty pieniężne świadczeń społecznych — wypłaty z tytułu rent i emerytur wzrosły o 16,6 proc., a z tytułu zasiłków pracowniczych (bez chorobowych) — o 15,9 proc. Dochody pieniężne ludności rolniczej z tytułu

sprzedaży produktów rolnych wzrosły o ponad 14 proc., co wynikało przede wszystkim ze wzrostu cen skupu. Spożycie dóbr materialnych łącznie wzrosło o 8 proc.

Głównym źródłem wzrostu dochodu narodowego był dalszy rozwój przemysłu. Produkcja sprzedana powiększyła się o 10,7 proc. (plan zakładał wzrost 8,1 proc.). Nastąpiły również pewne zmiany w strukturze produkcji. Udział produkcji przeznaczanej na cele rynkowe wyniósł 31,7 proc. (wzrost produkcji o 11,5 proc.), na cele eksportowe 13,4 proc. (wzrost o 12,4 proc.), na cele pozostałe — 54,9 proc. (wzrost o 9,8 proc.). Wyższa dynamika produkcji rynkowej i eksportowej od dynamiki produkcji sprzedanej ogółem jest powodem zmian strukturalnych dokonywanych w celu poprawy sytuacji rynkowej. Zwracając uwagę na tę pozytywną tendencję, trzeba podkreślić słowo „początek zmian”. Na-

rada w Urzędzie Rady Ministrów w dn. 26 stycznia, poświęcona temu tematowi, wykazała, jak wiele jest jeszcze do zrobienia w dziedzinie zwiększenia dostaw rynkowych z przemysłu i poprawy jakości tej produkcji.

Wzrost produkcji przeznaczanej na cele eksportowe, choć stosunkowo szybki — był mniejszy niż zakładał plan, co odbiło się na wykonaniu zadań przez handel zagraniczny.

Wysoką dynamikę produkcji przemysł uzyskał przy niewielkim wzroście zatrudnienia — o 0,5 procent. Podstawowe wskaźniki dotyczące pracy przemysłu obrazuje tabela 1.

Wyszczególnienie	Średnie tempo wzrostu		wzrost w stosunku do roku poprzedniego
	1971-1975	1975	1976
Produkcja sprzedana	11,2	12,4	10,7
Przeciętne zatrudnienie	2,8	1,5	0,5
Osobowy fundusz płac	12,1	15,3	9,7
Przeciętna płaca miesięczna	9,3	12,4	9,1
Wydajność pracy	6,1	10,9	10,1

Ten układ wskaźników miał istotny wpływ na kształtowanie się relacji ekonomicznych. Udział wydajności pracy w przyroście produkcji był wyższy od założonego w planie. Wyższy był również od planowanego wskaźnik opłacenia wzrostu wydajności pracy, co musiało odbić się na sytuacji rynkowej, gdyż powodowało znaczny ponadplanowy wzrost dochodów pieniężnych ludności. Podstawowe relacje osiągnięte przez przemysł podajemy w tabeli 2.

Wyszczególnienie	1971-1975		1975	1976
	1971-1975	1975	1975	1976
Przyrost w proc. produkcji sprzedanej z tytułu:				
wzrostu zatrudnienia	25,0	11,9	4,7	
wzrostu wydajności pracy	75,0	88,1	95,3	
Przyrost w proc. osobowego funduszu płac netto z tytułu:				
wzrostu zatrudnienia	22,0	9,8	5,2	
wzrostu wydajności pracy	77,0	90,2	94,8	
Opłacenie przyrostem produkcji przeciętnej płacy	1,15	0,90*	0,76*	

* Wskaźnik dla roku 1975 obliczony bez uwzględnienia centralnych regulacji płac, a dla roku 1976 bez uwzględnienia centralnych regulacji i bez uwzględnienia dodatków stażowych za rok 1975 wypłaconych w roku 1976. Z uwzględnieniem tych wypłat wskaźnik dla r. 1975 wynosił około 1,24, a dla roku 1976 — 0,90.

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

PRZEDĘ WSZYSTKIM RYNEK

ZOFIA DŁUGOSZ

Wysuwając na czoło wszystkich zadań szeroko rozumianą poprawę zaopatrzenia rynku, plan 5-letni zmodyfikowany uchwałą Sejmu, daje niewątpliwie dowód respektowania najżywiej, najpilniej odczuwanych potrzeb społecznych. O tym zaś, że realizacja tego właśnie zadania jest przedmiotem najwyższej uwagi władz, świadczy m. in. fakt, iż pierwsza z centralnych problemowych narad aktywu partynjo-gospodarczego, która odbyła się 26 stycznia pod przewodnictwem premiera PIOTRA JAROSZEWICZA, poświęcona była przeglądowi: co już w tej dziedzinie zrobiono, jakie przedsięwzięcia są w toku, jakie kierunki działań wytyczyły sobie zainteresowane resorty i władze poszczególnych województw.

BACZNE śledzenie tych poczynąń i zamierzeń jest z pewnością potrzebne. Na dochowanie pełnej wierności ogólnej koncepcji planu składają się bowiem tysiące wielkich, małych i całkiem drobnych poczynąń wielu ogniw gospodarki; przyjęcie w którymś punkcie błędnego założenia, nawet co do rzeczy pozornie mało ważnej, może wywołać perturbacje w coraz bardziej złożonym procesie organizowania podaży artykułów na rynek.

Takie niebezpieczeństwo już się w toku opracowywania planów w przedsiębiorstwach zarysowało: na wysunięte przez centralnego planistę słuszne założenie ograniczenia produkcji zaopatrzeniowo-inwestycyjnej i zastąpienie jej rynkową, bądź przeznaczoną na eksport niektórych producentów odpowiedziami... zrywaniem umów na dostawy kooperacyjne dla wytwórców finalnych artykułów rynkowych. Mogłoby to doprowadzić do sytuacji, w której bardzo potrzebne artykuły nie ukazywałyby się na rynku z powodu braku przysłówiowej śrubki niezbędnej do ich wyprodukowania.

Dostarczenie w porę tych przykładów niewłaściwej interpretacji zalecenia dotyczącego ograniczenia produkcji inwestycyjno-zaopatrzeniowej pozwoli zlikwidować to potencjalne zagrożenie w zarodku. Podobnych kwestii, wymagających pilnej obserwacji i korygowania w porę

tendencji i działań niewłaściwych jest więcej.

W ZGODNIE Z POTRZEBAMI

Sam plan poprawy zaopatrzenia rynku — jego koncepcja i wewnętrzna struktura — dobrze odzwierciedlają obraz społecznych potrzeb w tej dziedzinie.

Jak wiadomo, jednym z generalnych założeń planu, które sprzyjać będzie umocnieniu równowagi rynkowej, jest ukształtowanie bardziej prawidłowej niż w poprzednim pięciolatek relacji między wzrostem dochodów ludności a zwiększeniem podaży artykułów rynkowych i usług. Wzrost pieniężnych przychodów ludności wyniósł na 44 proc., dostaw towarów rynkowych zwiększyć się mają o 60 proc., a podaży usług — o ok. 70 proc. To najbardziej podstawowe założenie planu odpowiada też najszerzej i najsilniej odczuwanej potrzebie społecznej. Jakkolwiek bowiem każdy z nas lubi, kiedy w portfelu przybywa mu jak najwięcej pieniędzy, a im kto skromniej sytuowany, tym mocniej odczuwa to pragnienie — coraz bardziej i powszechniej rozumiemy też, że prawdziwą wartość te większe dochody mają wtedy dopiero, gdy znajdują pełne pokrycie w podaży artykułów i usług.

Nieprzestrzeganie prawidłowych relacji między wzrostem siły nabywczej a wzrostem oferty towarów i usług prowadzi do rozchwiania równowagi rynkowej dotkliwego dla

wszystkich, ale szczególnie dla rodzin o niewielkich dochodach. Tych, które nie mogą nabyć mebli, płaszcza, czy butów niejako na zapas, wtedy akurat, kiedy pojawiają się w sklepie, lecz szukają ich — często bezskutecznie — dopiero, gdy przycięsina potrzeba, których nie stać na kupowanie w komisach, na bazarach itp. Umocnienie równowagi rynkowej leży w interesie wszystkich, ale szczególnie ważne jest dla rodzin skromnie i średnio sytuowanych, czyli większości społeczeństwa.

Kontynuacją poprzedniej polityki rynkowej jest dążenie do dalszego pogłębiania zmian w strukturze konsumpcji przez zwiększenie i uatrakcyjnienie oferty artykułów przemysłowych oraz usług. Jest to niezbędne zarówno z punktu widzenia zainteresowań konsumentów, którzy w miarę wzrostu zamożności mogą przeznaczać coraz więcej pieniędzy na zakup różnorodnych wyrobów przemysłowych, jak i ze względu na możliwości gospodarki. Łatwiej jest zapewnić wysokie tempo wzrostu podaży wyrobów przemysłowych, niż produktów rolniczych, gdyż to ostatnie wymaga znacznie wyższych nakładów i — czasu.

W ubiegłym pięciolatek osiągnięliśmy pewien postęp w pożądanej zmianie struktury konsumpcji: podczas gdy w 1970 r. udział żywności w całości wydatków na zakupy towarów, wynoszących w owym czasie 483,7 mld zł, stanowił 43,7 proc., to w 1975 r. — przy wzroście zakupów ogółem do 829,4 mld zł — 36,8 proc. Tempo tych zmian jest jednak zbyt powolne i w bieżącym pięciolatek powinno się przyspieszyć. Pozwala na to osiągnięty już, dość wysoki, poziom spożycia żywności; teraz chodzi o to, by je bardziej urzecznić i podnieść wartość naszej narodowej diety.

Plan przewiduje wzrost spożycia mięsa, drobiu i przetworów mięsnych z ponad 70 kg na osobę w 1975 roku, do 75 kg w 1980 r.; spożycia ryb — z 7,2 do 8,7 kg; mleka i przetworów (bez masła) z 209 l do 235 l; masła z 7,4 do 8,5 kg; owoców z 39 do 60 kg; warzyw z 96 do 120

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

JAK RZEMIOSŁO PRZEKSZTAŁCA SIĘ W PRZEMYSŁ

JERZY KORDACKI

PIERWSZY społeczny podział pracy trwał dziesiątki tysięcy lat, drugi tysiące, dalsze specjalizacje setki, a obecnie próbujemy tworzyć wysoko wyspecjalizowane gałęzie przemysłu — jak nigdy opisywane — w ciągu kilkunastu lat. Mnożenie podziałów specjalizacyjnych zarówno w skali międzynarodowej, jak i branżowej nie jest irracjonalną modą, ale koniecznością ekonomiczną. Produkcja jednostkowa jest niewspółmiernie droga, co powoduje wypieranie produkcji warsztatowej, rzemieślniczej przez przemysł z produkcją powtarzalną, seryjną, potokową, masową.

Dawna metamorfoza rzemiosła — manufaktura — przemysł nie tylko trwała dłużej, ale odbywała się inaczej. Obecnie powolna ewolucja staramy się skrócić i zoptymalizować; świadomą stymulacją usiłujemy zastąpić przypadek i inne bodźce rozwojowe. Nowa powstająca gałąź przemysłu może być od początku rozwijana racjonalnie i szybko.

Te ogólne uwagi chciałbym przenieść na grunt praktyczny; przedstawić, jak rzemiosło przekształca się w przemysł — na przykładzie jednej z naszych Wielkich Organizacji Gospodarczych. Oto „Elektromontaż” — WOG grupujący przedsiębiorstwa niezbędne przy wznoszeniu niemal każdej budowy.

SUPERMANUFATURA

Jak z samej nazwy wynika, zajmuje się przede wszystkim montażem urządzeń elektrycznych: rozdzielni, stacji transformatorowych, urządzeń sterowniczych i kontrolnych, baterii kondensatorów, przewodów, instalacji, aparatury i innych urządzeń.

Większość tych urządzeń przemysł krajowy dawniej nie wytwarzał, a dostarczane „Elektromontażowi” wymagały na poszczególnych budowlach adaptacji, przeróbek i napraw. Wyłoniło to konieczność stworzenia warsztatów przy poszczególnych przedsiębiorstwach „Elektromontażu” zlokalizowanych w całym kraju. Warsztaty te w niektórych przypadkach zmuszone były, z braku dostawcy danego urządzenia, wyprodukować go całkowicie we własnym zakresie. Udało się to coraz częściej i nikt wówczas nie ośmielał się pytać o koszt takiego cudotwórstwa. Warsztaty świadczące początkowo drobne usługi zaczęły się przekształcać w zakłady produkcyjne: wartość produkcji z setek tysięcy złotych przechodziła w miliony, dziesiątki i setki milionów; zatrudnienie — z kilku, kilkunastu pracowników w kilkadziesiąt, kilkaset; prowizorka poligonu ustępowała „komfortowi” warsztatu. Narodziny warsztatów spowodowane więc były koniecznością zaspokojenia doraznych potrzeb poszczególnych przedsiębiorstw „Elektromontażu”.

Stopniowo warsztaty poza usługami dla potrzeb własnych „Elektromontażu” zaczęły wytwarzać urządzenia dla odbiorców z całego kraju, np. przewody szynowe, baterie kondensatorów, urządzenia dla budownictwa mieszkaniowego i ogólnego. Coraz częściej produkowały urządzenia przeznaczone na eksport, przy czym ostatnio zaczęły eksportować same urządzenia jako towar, a nie jako element obiektu budowanego przez Polskę za granicą.

Zaobserwowano jednak, że urządzenia, które miało być wykonane w danym warsztacie w jednym egzemplarzu, było wykonywane w ciągu roku ponownie, a niekiedy kilka razy. Stwierdzono także, że takie samo urządzenie produkowane jest w innym, bądź nawet innych warsztatach „Elektromontażu”. Tak np. rozdzielnice do 1 kV produkowane były jednocześnie przez 9 warsztatów-zakładów, rozdzielnice średnich napięć przez 4 warsztaty, urządzenia sterowniczo-pomiarowe przez 8 warsztatów-zakładów itd. Produkcja jednostkowa stawała się powtarzalną, masową.

Dorazne potrzeby poszczególnych przedsiębiorstw „Elektromontażu” coraz częściej stawały się potrzebami stałymi. Jakże są jednak te potrzeby — co do asortymentu i ilości — pozostawało sprawą nieznaną. A przecież chcąc rozwijać produkcję, chcąc więc specjalizować w pewnych typach konstrukcji, trzeba znać aktualne i przyszłe potrzeby własne („Elektromontażu”) — aktualne i przyszłe potrzeby innych potencjalnych odbiorców krajowych i zagranicznych. Wyłania się w stosunku do niektórych urządzeń problem marketingu, dywersyfikacji produkcji, jej ekspansji bądź zaniechania. Same te pojęcia przerosły nomenklaturę warsztatową i strukturę organizacyjną branży. Zdolność produkcyjna „Elektromontażu”, choć nie określana i nie stanowiąca poprzednio przedmiotu poważniejszych analiz, rosła z roku na rok.

Niedowład organizacyjny i dynamizm produkcyjny wzajemnie się przeplatały. Produkcja warsztatów niezależnie od spostrzeżeń, rozważań, problemów, analiz czy raczej ich braku — osiągnęła wartość 2 miliardów złotych, stan zatrudnienia 6 tysięcy osób. Negatywne cechy tej o-

gromnej manufaktury rozrzuconej po całym kraju nie dały się jednak ukryć.

Oto główne mankamenty:

- Produkowany sprzęt był drogi, za drogi. Wartość 2 miliardów złotych nie jest równoznaczna z kosztem społecznie niezbędnym do ich wytwarzania. Dwa miliardy złotych to cena, jaką gospodarka narodowa zapłaciła za urządzenia wykonane w warsztatach źle zorganizowanych, technologiach prymitywnych, konstrukcjach przestarzałych, a które wykonane w warunkach przemysłowych powinny być tańsze, w odniesieniu do niektórych urządzeń nawet kilkakrotnie.

- Cykl produkcyjny niemal wszystkich wyrobów jest wydłużony; wskutek stosowania prymitywnych technologii wiele urządzeń wytworzono w ilościach niedostatecznych, ponieważ zdolność produkcyjna była niewystarczająca.

- Konstrukcja większości wytworzonych wyrobów jest przestarzała, odbiegająca od przeciętnego poziomu światowego.

- Rzemieślnicza technika wytwarzania powodowała nadmierną materiałochłonność itd., itd.

- Wyłoniła się konieczność przekształcenia wytwórczości warsztatowej w przemysł wytwarzający urządzenia, których montaż zestawczy na placach budów i nowoczesnych obiektach sprowadzony zostanie do niezbędnego minimum.

CO JUŻ ZROBIONO?

Wymieńmy w skrócie niektóre poczynania:

- Dotychczasową nazwę: Zjednoczenie Przedsiębiorstw Robót Elektrycznych „Elektromontaż” — zmieniono na Zjednoczenie Produkcji i Montażu Urządzeń Elektrycznych Budownictwa „Elektromontaż”. Pojawienie się w nazwie pojęcia „produkcja” i wyeksponowanie tej działalności na plan pierwszy, przed montażem, świadczy o intencjach. Nie chodzi tu jednak tylko o zmianę nazwy i o intencje, istota dotyczy brzemiennej decyzji: powierzenia jednostce organizacyjnej dotychczas mającej się zajmować montażem urządzeń — przemysłową produkcją tych urządzeń.

- Powołano Biuro Technologiczno-Konstrukcyjne Urządzeń Elektrycznych, powierzając mu główną rolę merytoryczną w przeprowadzeniu opisywanej metamorfozy. Postawiono przed nim konkretne zadania: opracowanie programu produkcji i dostosowanie do niego specjalizacji poszczególnych zakładów; opracowywanie bądź koordynowanie projektów inwestycyjnych; zweryfikowanie listy produkowanych wyrobów oraz wypracowanie technologii i konstrukcji nowych; przeprowadzenie normalizacji wyrobów itd.

- Rozbudowano zaplecze naukowo-projektowe, które w swej działalności uwzględniła w szerszym niż dotychczas zakresie produkcję urządzeń, a nie tylko ich montaż.

Realizacja przedstawionych zamierzeń przyniosła szereg konkretnych przeobrażeń i przedsięwzięć.

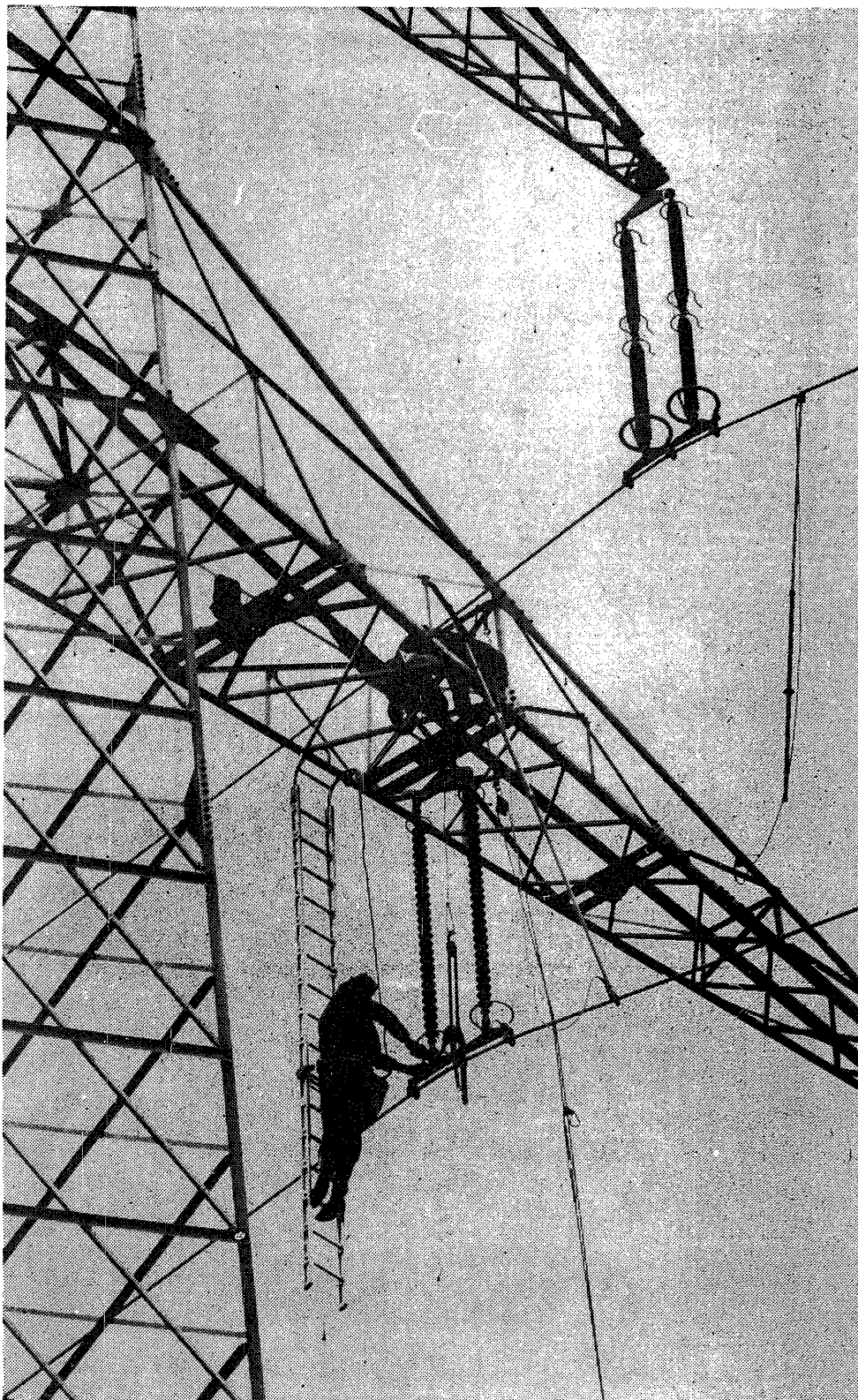
Wybudowano np. dwa nowe obiekty produkcyjne, które nie są już warsztatami i przy intensywnym nasycaeniu ich myślą organizatorsko-technologiczną mogą szybko stać się przedsiębiorstwami we współczesnym tego słowa znaczeniu.

Dokonano próby skatalogowania i opracowania wykazu produkowanych wyrobów. Prace nad skatalogowaniem produktów uzmysłowiły chaos i prymitywizm gigantycznego rzemieślnika, poczynając od nomenclatury a na ustaleniu wachlarza wyrobów kończąc. Nazwy wyrobów stosowane przez jednego wytwórcę są niezrozumiałe, bądź oznaczają coś innego dla drugiego. Mimo wielkiej akcji porządkowania profilu produkcyjnego okazało się, że asortyment jest nadal niezwykle bogaty, zawiera 2500 pozycji; to „bogactwo” stało się przedmiotem krytyki, gdyż jest istotną przeszkodą we wdrażaniu przemysłowych metod wytwarzania. Ponadto jednym wystarczającą terminy bardzo ogólne, np. pulpit sterowniczy, szafka rozdzielnic, transformator itd. — dla innych praktyków okazują się one zbyt ogólnikowe. Tak więc próba odpowiedzi na pozornie proste pytanie: co się wytwarza? — okazała się skomplikowana.

Dokonując przeglądu konstrukcji i technologii wytwarzania — koordynowało tę akcję Biuro Technologiczno-Konstrukcyjne — odkryto jednak ogromne możliwości optymalizacji konstrukcji i technologii, organizacji i ekonomizacji procesów produkcji. Dokonano także generalnej próby specjalizacji produkcji poszczególnych warsztatów-zakładów. Specjalizacja natrafiła jednak nie tylko na trudności koncepcyjno-organizacyjne, lecz przy ich wdrażaniu, ujawniły się interesy partykularne, nie zawsze zbieżne z ogólnogospodarczymi.

PYTANIE PODSTAWOWE

To co zrobiono, by przekształcić rzemiosło w przemysł, to duża praca



Fot. ARCHIWUM

organizacyjna, koncepcyjna, konstrukcyjna, technologiczna, ale nie pora jeszcze mówić o skończonych bólach porodowych.

Odpowiedź na pytanie: jaki ma być kształt przyszłego przemysłu urządzeń elektrycznych dla budownictwa? — zawiera się w przedziale dwóch skrajnie różnych wypowiedzi. Pierwsza pochodzi od autora związanego z zapleczem naukowo-projektowym — nazwijmy go wizjonerem; druga — od praktyka-konserwatysty oddalonego od badań analiz, wizji, ale legitymującego się bezspornymi osiągnięciami praktycznymi, dzięki którym „Elektromontaż” jest tym, czym jest.

WIZJONER: trzeba będzie zweryfikować wszystkie dotychczasowe projekty typowe... opracować dokumentację konstrukcyjną... opracować pełny zestaw... kiedy wszystkie te prace zostaną w pełni wykonane, a ich rezultaty znajdą praktyczne zastosowanie — można będzie mówić o wielkoprzemysłowym charakterze działania całej Wielkiej Organizacji Gospodarczej „Elektromontaż”.

PRAKTYK-KONSERWATYSTA: Elektromontaż, jak sama nazwa wskazuje, powinien zajmować się montażem urządzeń elektrycznych. Istnienie w jego organizacji większych warsztatów — zakładów jest złem koniecznym, kosztownym dostosowywaniem się do braków zaopatrzenia w aparaturę i urządzenia. Dalszy rozwój tych warsztatów, dalsze przekształcanie ich w zakłady przemysłowe oznacza akceptację niedorozwoju krajowego przemysłu urządzeń elektrycznych i uzupełnianie go przez jednostki organizacyjne do tego niedostosowane przy jedno-

czesnym wyzbyciu się istotnego i niezbędnego ogniw w działalności montażowej (warsztatów).

Nie można lekceważyć stanowiska ani wizjonera, ani konserwatysty. Pierwszy reprezentuje program maksimum, drugi minimum. Dla prawidłowej metamorfozy i dalszego rozwoju potrzebna jest natomiast odpowiedź: gdzie leży optimum? Optimum z punktu widzenia branży i z punktu interesów gospodarki ogólnonarodowej.

Wizjoner reprezentuje dezyderat posiadania przez Polskę wielkoprzemysłowej produkcji urządzeń elektrycznych dla budownictwa. Założenie oczywiście piękne, ale w gospodarce realia muszą mieć głos decydujący. Ta wielkoprzemysłowa produkcja to obecnie nierzadko szopa z załogą poniżej 50 osób, w większości z podstawowym wykształceniem. Po to, aby produkcja odbywała się systemem wielkoprzemysłowym, nie wystarczy zweryfikować projekty typowe i opracować dokumentację konstrukcyjną, nie wystarczy przekształcić niektóre szopy w hale fabryczne, a prymitywne narzędzia w nowoczesne, lecz trzeba jeszcze co najmniej trzech rzeczy: nowoczesnej organizacji, technologii produkcji oraz rozeznania rynku. Wielkoprzemysłowa produkcja to znaczne ilości wyrobu jednego rodzaju. Pytania: dla kogo? Kto będzie ich odbiorcą? Która z dziś wytwarzanych wyrobów mają być produkowane w wielkich ilościach? Jak przejść od rzemieślniczego systemu jednostkowych zleceń do seryjnej produkcji dla nieznanego odbiorcy? Jeśli niektóre mają być produkowane w wielkich ilościach, to

trzeba zrezygnować z produkcji innych — skąd je wobec tego brać?

Nikt dziś nie zna odpowiedzi na te pytania, nikt ich jeszcze wyraźnie nie postawił. Analizy rynku na wyroby mające być produkowane w Wielkiej Organizacji Gospodarczej „Elektromontaż” nikt jeszcze nie dokonał. Ale i ona nie wystarczy do przejścia na produkcję wielkoprzemysłową, wymusi jednak trudną decyzję.

Drugi punkt widzenia wytwórczości w „Elektromontażu” — choć zdajemy sobie sprawę z nieekonomiczności i nienowoczesności produkcji warsztatowej, jednostkowej, rzemieślniczej — zawiera ważny element, którego nie wolno ignorować. Przedsiębiorstwom montażowym potrzebne są warsztaty, które dokonują adaptacji urządzeń do konkretnych potrzeb, wykonują urządzenie unikalne. Przekształcając więc istniejące warsztaty w fabryki, trzeba pamiętać o tym, że muszą one dysponować pewną zdolnością produkcyjną do świadczenia tego rodzaju usług rodzimym przedsiębiorstwom. Stąd wniosek, że nie należy tworzyć zakładów wyłącznie specjalistycznych, lecz z dominacją specjalizacji.

Fakt, że przemysł urządzeń elektrycznych dla potrzeb budownictwa znajduje się in statu nascendi powinien być wykorzystany do kreowania go w sposób najbardziej racjonalny. Powstaje więc potrzeba fundamentalna — opracowania prognozy rozwoju branży. Takie stadium prognozowania spełnia rolę maksymalnej prakseologicznej mowa, że należy spojrzeć na drogę, zanim się na nią wstąpi.

orzecznictwo

ODMOWA PODWYKONAWCY ZAWARCIA UMOWY O WYKONANIE ROBÓT

Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego N, jako generalny wykonawca, zwróciło się do Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego Przemysłu Maszynowego z propozycją zawarcia z nim umowy podwykonawstwa na określone roboty adaptacyjno-modernizacyjne i rozbiorowe.

Ponieważ Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane zawarło propozycję umowy odrębnie, generalny wykonawca wystąpił na drogę postępowania arbitrażowego z wnioskiem o zawarcie umowy i ustalenie jej treści.

Okręgowa Komisja Arbitrażowa, uznając, że strona pozwana ma obowiązek jako terytorialnie i rzeczowo właściwa zawrzeć z powodowym generalnym wykonawcą powyższą umowę, zobowiązała pozwane Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane do przesłania generalnemu wykonawcy projektu umowy.

Główna Komisja Arbitrażowa rozpoznając odwołanie pozwanej Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego orzeczenie OKA zmieniła i wniosła o zawarcie umowy oddaliła.

Od orzeczenia GKA z kolei Minister Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych wniosł rewizję nadzwyczajną.

Główna Komisja Arbitrażowa rozpoznawszy sprawę ponownie, orzeczeniem z dnia 10 marca 1976 r. nr DO-364/76 zapadłym w składzie rewizyjnym, rewizję nadzwyczajną Ministra oddaliła, wypowiadając następujący istotny pogląd prawny:

Roboty budowlano-montażowe wykonywane w podwykonawstwie nie podlegają bilansowaniu i należą do rzeczowo oraz terytorialnie właściwego wykonawcy.

Jeżeli jednak wykonawca takich robót odmawia zawarcia umowy o ich wykonanie z powodu swej niewłaściwości, wówczas na wniosek zamawiającego (generalnego wykonawcy) jednostka nadrzędna obowiązana jest bądź wskazać wykonawcę, bądź sama zawrzeć z zamawiającym odpowiednią umowę.

W uzasadnieniu swego ponownego orzeczenia GKA zaznaczyła m. in.:

„Umowa, której zawarcia i ustalenia treści dochodzi powódzowy generalny wykonawca, dotyczy robót wykonywanych w podwykonawstwie. Zgodnie z zarządzeniem nr 39 Prezesa Rady Ministrów z 10.IV.1972 r. w sprawie zasad bilansowania robót budowlano-montażowych i uproszczenia trybu ich zlecania (Monitor Polski nr 25, poz. 141) roboty tego rodzaju nie podlegają bilansowaniu. Według § 7 ust. 4 cytowanego zarządzenia przedsiębiorstwa budowlano-montażowe mają obowiązek zapewnić wykonawstwo takich robót zgłoszonych przez generalnych wykonawców, niezależnie od ich resortowego podporządkowania. O zawarcie umowy w przedmiocie wykonania powyższych robót zamawiający zwraca się do rzeczowo i terytorialnie właściwego wykonawcy, który ma obowiązek zawrzeć umowę z zamawiającym (§ 3 ust. 1 zarządzenia Ministra Budownictwa i PMB z 8.IV.1974 r. w sprawie ogólnych warunków umów o prace projektowe w budownictwie oraz o realizacji inwestycji budowlanych i o wykonanie remontów budowlanych i instalacyjnych — Monitor Polski Nr 14, poz. 94). W wypadku zaś odmowy zawarcia przez przedsiębiorstwo budowlano-montażowe umowy o wykonanie robót w podwykonawstwie z powodu niewłaściwości rzeczowej i terytorialnej, dla ustalenia wykonawcy przewidziany jest tryb postępowania określony w § 4 o.w.r.i. Monitor Polski 1974 Nr 14, poz. 94).

Zamawiający powinien się więc zwrócić w trybie administracyjnym do jednostki nadrzędnej wykonawcy, która obowiązana jest wskazać wykonawcę lub sama zawrzeć odpowiednią umowę, jeżeli w ciągu 14 dni od dnia zgłoszenia nie wskaże wykonawcy. Dalszy tryb postępowania na wypadek niewłaściwości jednostki nadrzędnej do wskazania wykonawcy określony ust. 2 i ust. 3 § 4 o. w. r. i. Nietrafny więc jest zarzut rewizji nadzwyczajnej, że Główna Komisja Arbitrażowa naruszyła prawo przez ustalenie, iż powódzowy zamawiający powinien żądać wskazania wykonawcy robót w trybie ustalonym w § 4 o. w. r. i.

Przyjęcie innego rozstrzygnięcia, a w szczególności, że w omawianej sytuacji Państwowy Arbitraż Gospodarczy jest właściwy dla ustalenia wykonawcy, powodowałoby, że przepis § 4 o. w. r. i. byłby zbędny, ponieważ przewidziany nim tryb postępowania dla ustalenia właściwego rzeczowo i terytorialnie wykonawcy nie miałby w praktyce zastosowania.

Rewizja nadzwyczajna powołuje się na porozumienie, zawarte w sprawie międzyresortowego podziału pracy w zakresie wykonawstwa robót budowlano-montażowych w systemie zleceń, które — zdaniem rewizji — ustala, że pozwane Przedsiębiorstwo jest właściwe rzeczowo i terytorialnie do wykonania robót objętych sporem. Porozumienie to określa w p. 6 rozdziału IV, że przedsiębiorstwa budowlano-montażowe resortu przemysłu maszynowego realizują kapitalne remonty, modernizację i inne inwestycje zakładów

DOKONCZENIE NA STR. 6



Ludzie chcą się urządzać — do tego potrzebna jest stosowna powierzchnia...

Fot. S. ZUBCZEWSKI

POTRZEBNE SĄ WIĘKSZE MIESZKANIA

TADEUSZ ŻARSKI

STANDARD budownictwa mieszkaniowego jest przedmiotem zainteresowań opinii publicznej. Od czasu do czasu rozlegają się nieznaczne głosy, że należałoby ograniczyć poprawę standardu powierzchniowego w celu zwiększenia liczby budowanych mieszkań. Politykę taką stosowano już raz w latach sześćdziesiątych — nie przyniosła ona jednak wzrostu rozmiarów budownictwa m. in. dlatego, że czynnikiem limitującym nie był sam standard, lecz ograniczenia w kosztach, których zapotrzebowanie wyznacza w zasadzie liczba mieszkań, a nie ich powierzchnia. Natomiast rezultatem tej polityki było katastroficzne obniżenie standardu budowlanego w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych, którego skutkiem jeszcze do dziś nie przezwyciężyliśmy.

Doceniając jak najbardziej pilność sprawy zwiększenia ilości budowanych mieszkań, pragniemy wykazać również pilność poprawy ich standardu powierzchniowego. Rozważania ograniczamy do budownictwa w miastach, a przede wszystkim do budownictwa uposażonego, jako że budownictwo na wsi przeważnie in-

dywidualne, rządzi się innymi prawami. W tym zakresie punktem wyjścia jest ocena istniejącej struktury wielkości mieszkań, wychodząca z potrzeb określonej wielkości gospodarstw domowych. Ocenę tę oparto na materiałach przeprowadzonego w 1974 r. badania reprezentacyjnego w 1974 r. metodą reprezentacyjną, w którym to badaniu dwa warianty standardu. Standard wyższy odpowiadał stanowi pożądanemu w 1990 r. przewidywało, że w każdym mieszkaniu powinien być jeden pokój, w którym nikt nie śpi (z wyjątkiem mieszkań dla 1 osoby — kawalerki i pokoi z kuchnią), a w pozostałych pokojach powinny mieszkać po dwie osoby, z wyjątkiem osób pól odmiennych nie będących małżeństwem lub też małoletnimi dziećmi. Standard niższy odpowiadał stanowi pożądanemu w początkach lat osiemdziesiątych, zakładając, że gospodarstwo domowe o określonej liczbie osób powinno posiadać mieszkanie o takiej samej liczbie izb. Dokonując, z braku szczegółowych danych, co do składu gospodarstw domowych, niezbędnych szacunków

otrzymano następujący rezultat porównań (w tys. mieszkań):

Wyszczególnienie	Mieszkania				razem
	1-izbowe	2-izbowe	3-izbowe	4-izbowe i większe	
MIESZKANIA					
istniejące	1927	1843	856	340	4966
POTRZEBNE:					
standard wyższy	1115	1259	2511	1003	5888
standard niższy	2374	1419	1310	785	5888
ROZNICA MIĘDZY MIESZKANAMI					
A POTRZEBAMI:					
standard wyższy	+818	+434	-1653	-683	+1396-2318
standard niższy	-447	+424	-452	-445	+424-1344

W świetle przedstawionych porównań, przy przyjęciu standardu wyższego, właściwego dla 1990 r., występuje poważny niedobór mieszkań większych przy jednoczesnej nadwyżce mieszkań mniejszych. Przy przyjęciu standardu niższego, niedobór koncentruje się również na mieszkaniach większych; występuje bowiem brak mieszkań 1- i 2-izbowych, które mogą być rekompensowane przez nadwyżkę mieszkań 3-izbowych, które można przeznaczyć dla gospodarstw dwuosobowych.

wych; dla tych gospodarstw w tym standardzie przedstawione porównanie przewidywało mieszkania 2-izbowe (tj. pokój z kuchnią). Oceniając dokonane porównania trzeba mieć na uwadze, że mają one charakter teoretyczny. Zakłada się bowiem w nich pełną wymienialność mieszkań — co nie jest możliwe zarówno ze względu na ich przestrzenne rozproszenie, jak i różnice dotyczące stosunków własnościowych, nabytych praw przez obecnych mieszkańców itd. Zastrzeżenia te jednak nie tylko nie przeczą przedstawionym wnioskom co do niedopasowania struktury wielkości mieszkań do struktury potrzeb, ale jeszcze te wnioski umacniają. A zatem faktyczny brak mieszkań większych jest dotkliwszy, niż to wynika z przedstawionych danych.

Oczywistym wnioskiem jest, że poprawa warunków załudnienia (w 1974 r. 6,2 mln osób w miastach zajmowało mieszkania przeludnione, tj. o załudnieniu powyżej 1,5 osób na izbę) wymaga przede wszystkim budowy mieszkań większych, liczących co najmniej 4 izby, tj. 3 pokoje z kuchnią. Nie znaczy to, że tylko takie mieszkania i większe należałoby budować. Z różnych względów trzeba będzie budować i mieszkania mniejsze (np. tzw. „specjalne” dla osób starszych), ale ich udział nie powinien być duży.

Jak na tle takiego zapotrzebowania wygląda struktura budowanych mieszkań w ramach uposażonego budownictwa w miastach? Poniżej przedstawiamy odpowiadające dane dla 1975 r. na tle rezultatów 1970 r.

UDZIAŁ BUDOWANYCH MIESZKAN (W PROC.)	Tabela 2	
	w 1970 r.	w 1975 r.
o liczbie izb 1 i 2	28,1	14,2
„ „ „ 3	42,3	37,5
„ „ „ 4 i więcej	29,1	48,3
przeciętna powierzchn. miesz. w m kw. pow. użytkowej	42,8	47,0

Jak z tego wynika, mimo znacznego ograniczenia udziału mieszkań mniejszych — a przede wszystkim najmniejszych 1- i 2-izbowych — gru-

pa mieszkań liczących do 3 izb, których w zasadzie mamy dostateczną ilość, stanowiła nadal większość zbudowanych w 1975 r. A zatem, by doprowadzić do właściwej, odpowiadającej potrzebom struktury wielkości wszystkich posiadanych mieszkań, trzeba dalszych przesunąć w kierunku budowy mieszkań większych, co prowadzi do konieczności dalszego wzrostu przeciętnej powierzchni mieszkań.

Zwiększenie udziału mieszkań większych powinno prowadzić do

przyspieszonej poprawy sytuacji mieszkaniowej, jako że drogą szeroko stosowanych zmian można, przy pomocy jednego większego mieszkania poprawić sytuację mieszkaniową nawet kilku rodzinom (w korzystnych warunkach) tworząc tzw. łańcuszki mieszkaniowe*). Praktyka stosowana przez niektóre spółdzielnie, które same zaprogramowały strukturę potrzebnych im mieszkań — dowodzi istnienia takiej możliwości.

Sprawa standardu powierzchniowego budowanych mieszkań nie ogranicza się tylko do poprawy struktury wielkości mieszkań. Wskazuje również potrzebę zwiększenia powierzchni użytkowej mieszkań poszczególnych kategorii, przeznaczonych dla określonej liczby osób.

Wynika to z wielu przyczyn. Z ważniejszych wymienić należy: wzrost poziomu wykształcenia i kultury społeczeństwa pociągający za sobą potrzebę cichej pracy lub rozrywki umysłowej, wymagającej możliwości separowania się poszczególnych członków rodziny; wzrost możliwości przyczyniający się do zakupów różnego rodzaju artykułów przemysłowych trwałego i nietrwałego użytkowania (duże lodówki, automaty pralki, odzież, obuwie itd.), wymagających przestrzeni do umieszczenia lub przestrzeni dla składowania posiadanych zasobów; wzrost wolnego czasu od pracy zawodowej — który w okresie niepo- myślnych warunków atmosferycznych przedłuża czas przebywania w mieszkaniu i w związku z tym stwarza potrzebę dodatkowej przestrzeni na rozrywkę (np. telewizja kolorowa), lub uprawianie różnego rodzaju działalności typu hobby.

Wszystko to sprawia, że wymagania pod adresem wielkości mieszkania szybko rosną. W związku z tym, jak również z powodu przyrostu naturalnego obserwuje się zjawisko, że rodziny, które otrzymały mieszkania i oceniają je jako dobre lub bardzo dobre, już po kilku latach pragną ich wymienić. Reprezentacyjne badania przeprowadzone w Instytucie Kształtowania Środowiska przez mgr. Z. Barszczewską wśród osób, które uzyskały przydział w 1973 r., wskazują, że spośród spółdzielców otrzymujących w tym roku mieszkanie z budownictwa powszechnego — 38 proc. w 1975 r. pragnęło je zamienić. Z tej liczby 48 proc. oceniło mieszkania, które chcą zamienić, jako bardzo dobre lub dobre — 42 proc. jako zadowalające, a tylko 10 proc. jako niezadowalające lub złe. Gdy pod uwagę weźmie się tylko osoby w wieku do 30 lat, charakteryzujące się większymi wymaganiami, odsetek respondentów pragnących zmianać mieszkania rośnie do 55 proc. Głównym powodem była zbyt mała powierzchnia mieszkania i nie odpowiadający potrzebom rozkład tej powierzchni.

Jest faktem, że w zakresie wielkości mieszkań poszczególnych kategorii pozostaliśmy daleko w tyle za wieloma krajami europejskimi. Był to wynik utrzymywania przez piętnaście lat przepisów normatywnych projektowania mieszkań z 1959 r. W 1974 r. zarządzeniem Ministerstwa Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska zatwierdzono nowy mo-

matyw, zapewniający już większe powierzchnie, jednocześnie jednak stworzono szereg hamulców wprowadzania go w życie.

Dodać należy, że i te nowe przepisy przewidują znacznie mniejsze przeciętne wielkości mieszkań, niż w innych krajach. Nasuwa się zatem potrzeba stosowania w całej rozciągłości przepisów normatywnych z 1974 roku w okresie 1976—1980, a następnie nowelizacji jego postanowień w odniesieniu do okresu 1981—1985.

Taki właśnie sposób stopniowego poprawiania standardu mieszkań budowanych w ramach uposażonego budownictwa przewidziano w uchwale V Plenum KC PZPR z maja 1972 r. w sprawie perspektywicznego programu mieszkaniowego (do 1990 r.). W oparciu o konkretne postanowienia tej uchwały, oszacowano w IKS — zakładając niezbędne przesunięcia struktury wielkości mieszkań i wzrost powierzchni mieszkań różnych kategorii wielkości (przeznaczonych dla określonej liczby osób) — przeciętne wielkości mieszkań z budownictwa uposażonego dla ludności pozarolniczej w sposób następujący: 1. 1976—1980 — 53—55 m kw. 1. 1981—1985 — 62—64 m kw.

Jak z tego wynika, czekają nas bardzo duże zadania wiążące się zarówno z niezbędnym wzrostem rozmiarów budownictwa, jak i powierzchni użytkowej budowanych mieszkań. Wymagać to będzie ponownego zwiększenia udziału inwestycji mieszkaniowych w ogólnych nakładach inwestycyjnych, który od przeszło piętnastu lat wykazywał tendencję spadkową. Zapowiedziany na V Plenum KC PZPR manewr gospodarczy, polegający m. innymi na zmianach podziału tych nakładów, umożliwiłby uzyskanie tego celu. Oczywiście, potrzebne są również przesunięcia odpowiednich mocy produkcyjnych, co również jest możliwe jako rezultat zastosowania omawianego manewru.

Przy okazji omawiania sprawy inwestycji mieszkaniowych zwrócić należy uwagę na istotny wpływ tych inwestycji na kształtowanie się konsumpcji. Zwiększenie budownictwa, a przede wszystkim wznoszenie mieszkań większych, przy jednoczesnej zmianie struktury inwestorskiej w kierunku wzrostu udziału spółdzielczości i budownictwa indywidualnego — ma istotny wpływ na strukturę wydatków gospodarstw domowych. Więcej większych mieszkań wymaga przeznaczenia z budżetów rodzinnych większej sumy na pokrycie kosztów mieszkania, jak również bieżącego użytkowania mieszkania.

Niezależnie od tego, posiadanie mieszkania stymuluje wydatki na różnego rodzaju przedmioty trwałego użytku (jak meble, sprzęt gospodarstwa domowego, aparaty audiowizualne itd.), jak również na zakup innych artykułów dzięki stworzeniu możliwości ich składowania. A zatem budownictwo mieszkaniowe sprzyja przesunięciom w strukturze wydatków i konsumpcji korzystnym z ogólnogospodarczego i społecznego punktu widzenia.

*) Sprawę tę „ZG” podnosiło już dwukrotnie w roku 1976. Patrz: Piotr Król — „Małe czy duże?” (nr. 8) oraz „Powtórka tematów” (nr. 49).

TAPETY Z POCZTOWEGO OKIENKA

KRAJOWE CENTRUM KOORDYNACJI ROZWOJU MATERIAŁÓW I WYROBÓW DLA BUDOWNICTWA zorganizowało wspólnie z Instytutem Wzornictwa Przemysłowego pokaz tapet oraz wykładzin ściennych i podłogowych produkowanych aktualnie w kraju. Wystawę opatrzono nazwą „Materiał i barwa w Waszym mieszkaniu”, co szerzej określa cel ekspozycji. Ma ona mianowicie nie tylko nas informować, co produkują się, ale również pokazywać, jakie tapety z jakimi wykładzinami należałoby łączyć i jakie wzory prezentować się będą najlepiej w różnego rodzaju pomieszczeniach.

Tego typu wystawy są imprezami wielce pouczającymi, ale podobnie jak i w innych branżach mają też cechę, że z lansowanych na nich propozycji nie bardzo da się skorzystać w praktyce. Tak też zwiędzając opisywaną wystawę można się zorientować, jakie tapety i wykładziny ściennie i podłogowe produkują się obecnie w kraju. Bardziej wybredni dojdą do wniosku, że skromny to jeszcze wybór wzorów i kolorów. Nie mogą nikogo wprowadzić w zachwyt zwłaszcza wykładziny podłogowe w posępnej tonacji barw. Ale przy starannym zestawieniu tapety i wykładziny, tak jak to zaprezentowano na wystawie, można — okazuje się — uzyskać już wcale nie najgorsze efekty.

Z tej inspiracji niewiele jednak wynika dla praktyki, bowiem nawet ze skromnego wyboru tapet produkowanych w kraju, na ladzie sklepowej niewiele pozostało. Tapetę podłogową kupi w sklepach papierniczych, w sklepach „1001 drobiazgów”, w placówkach GS domach towarowych. Można ją kupić bez trudu, pod warunkiem jednak, że klient zrezygnuje z przyjemności wybierania koloru, wzoru i gatunku. Zeby

wybrać stosowny wzór i kolor, trzeba mieć nie tyle dobry gust, co zdrowe nogi, aby przejrzeć wszystkie zakamarki handlowej sieci i ustalić, w czym można wybierać. Tapety kupuje się w ciemno, produkuje w ciemno i nikt naprawdę nie umiały odpowiedzieć, jakie jest zapotrzebowanie rynku na ten wyrób.

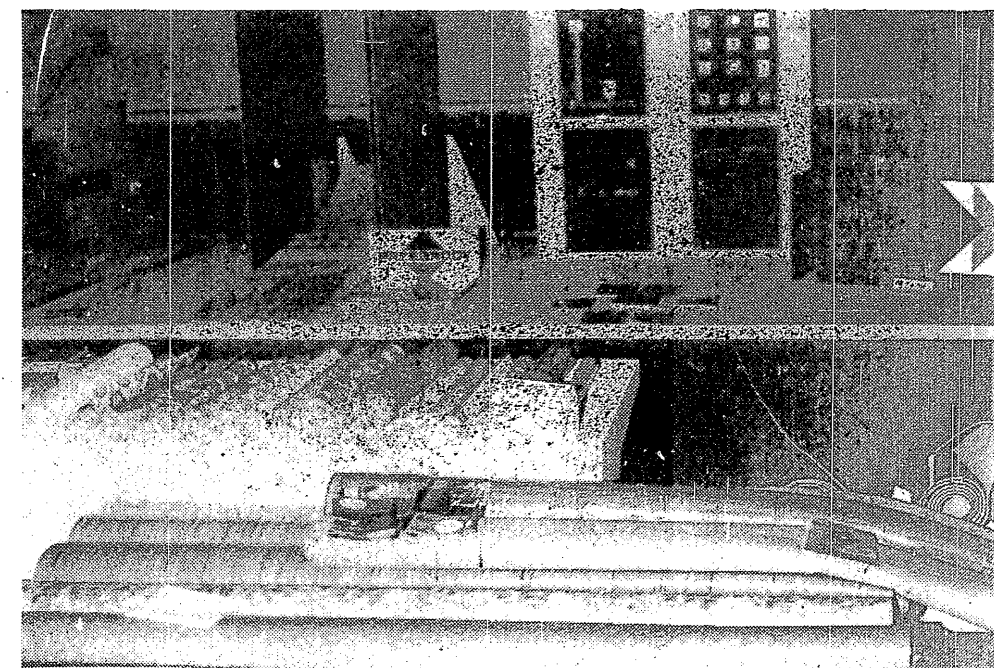
Tapety w naszych warunkach wyłansowało budownictwo koordynujące całość przedsięwzięć inwestycyjnych i nowych uruchomień w tak zwanym kompleksie przemysłu mieszkaniowego. Zastosowane w nowym budownictwie służącej mają one sprawie uproszczenia robót wykonawczych. W początkowym okresie nawet dla wykonawców budowlanych było to wątpliwe uproszczenie, jako że specjalizacja w nakładaniu tapet była w zawodach budowlanych nie znana. W dodatku wszystko, co potrzebne jest przy nakładaniu tapety — a więc odpowiednie kleje dla różnego rodzaju tapet, najprostsze urządzenia, w które wyposażać trzeba pracownika wykonującego tę czynność, listwy z tworzyw sztucznych łączące tapetowaną ścianę z podłogą, na którą nakłada się wykładzinę — zginęło gdzieś na drodze realizacji tapetowego programu.

Tapety to również jedna z żelaznych pozycji rynkowej oferty przemysłu mieszkaniowego. Pojawiały się one na rynku przed trzema laty po zakończeniu rozbudowy Gnaszyskich Zakładów Wyróbów Papierniczych. Liczba zainteresowanych w zakupach tych wyróbów jest coraz większa. Przybywa też równocześnie niezadowolonych z handlu. Nawet jeśli znajdzie się przypadkiem coś z poszukiwanego rodzaju wzoru i koloru, to i tak nie wiadomo, czym dać tapetę przykleić do ściany, jaki klej do jakiego jej gatunku stosować, żeby przy nakładaniu materiału nie odbarwił się. Amator tapetowa-

nych ścian zdany jest na własną inwencję, próbując ze zmiennym, niestety, skutkiem różnych sposobów i technologii klejenia. Próbuje nawet używać kłajstru z żytniej maki pyłowej, który tak świetnie, jak pamiętają nasze babce, zdawał egzamin. Tzw. doradztwo handlowe przy obecnych systemie sprzedaży, tego artykułu praktycznie nie istnieje. A kleje, które oferują placówki handlu chemikaliami, nie przy każdym rodzaju tapety zdają egzamin.

Tapety nie są wyjątkiem wśród innych artykułów przemysłu mieszkaniowego sprzedawanych nieumiejętnie. Pisaliśmy już kilkakrotnie, że nie da się tego typu wyróbów sprzedawać inaczej, jak przez wyspecjalizowaną sieć magazynów. Nawet gdyby to miał być na początek jeden magazyn w województwie, to i tak byłoby to ułatwienie dla klienta, który miałby pewność, że znajdzie w takim magazynie to, co obecnie jest w sprzedaży, mógłby dokonać tam wszystkich towarzyszących zakupów, a w dodatku zasięgnąć informacji, jak należy materiał stosować i obchodzić się z nim. Za propozycją tą opowiadają się wszyscy, nie konkretnego na razie na temat jej realizacji nie da się jednak powiedzieć. Ruch organizacyjny w królestwie Merkurego nie sprzyja konkretyzacji spraw szczegółowych i na placówki wyspecjalizowane w handlu artykułami przemysłu mieszkaniowego trzeba będzie jeszcze poczekać.

Skoro nie można rozwiązać szybko wszystkich problemów w tym co raz bardziej liczącym się dziale sprzedaży, może zastanowić się warto nad rozwiązaniami jednostkowymi. Na przykład tapeta. Jak rzadko który asortyment towarowy nadaje się ona do sprzedaży wysyłkowej. Zamiast więc rozlewać całą produkcję po najróżniejszych sklepach i sklepikach, wystarczyłoby wyposa-



Fot. ARCHIWUM

żyć je w katalogu wzorów i gatunków przeznaczonych aktualnie do sprzedaży rynkowej, odpowiedni druk, na którym klient wypisuje zamówienie i na podstawie którego dokonuje opłaty za zamówiony towar. Oczywiście, sprzedaż tapet musiałaby być połączona z jednoczesną sprzedażą odpowiedniego kleju. Do tego dołączona musiałaby być odpowiednia instrukcja stosowania. Z takim sposobem sprzedaży tapet spotkać się można często za granicą. A wysłono go nie tylko po to, żeby ułatwić życie klientom, ale również po to, aby szeroki wybór oferowanych wyróbów w placówkach sprzedaży detalicznej nie trzeba było opłacać gromadzeniem nadmiernych zapasów w handlu.

Produkcja tapet w kraju w roku 1980 wyniesie już 44,8 mln m kw. O-

cenia się, że nie zaspokoi ona jeszcze w pełni potrzeb ani głównego jej odbiorcy — budownictwa, ani potrzeb rynku. Ale będzie tej tapety więcej niż dziś, a wiadomo, że w miarę jedzenia apetyt rośnie i wymagania odbiorcy rosną. Ani producent, ani handel nie mogą liczyć na ruch w tapetowym interesie bez rozeznania rzeczywistych potrzeb odbiorcy, jego upodobań i gustów. Sama obecność wyrobu na rynku nie rozwiązuje wszystkiego. Przy sprzedaży tego typu wyróbów bezpośrednie porozumienie na linii klient — producent może się już wkrótce okazać nieodzowne. Pośrednik tego porozumienia — handel jest w tym również żywotnie zainteresowany. Nie zadowolili nikogo handlową jedynym rodzajem wyrobu w każdym sklepie, a strach pomyśleć, jaką pro-

dukcję musiałby ulokować w zapasach, żeby w każdej placówce sprzedaży detalicznej zaoferować przynajmniej 10 rodzajów tapety.

Każda racjonalizacja wymaga wysiłku organizacyjnego, a więc i tu trzeba dołożyć trochę starań i odpowiednio podzielić rolę w organizowaniu handlu wysyłkowego. Swoją rolę w realizacji takiej koncepcji muszą mieć producenci, a więc przemysł papierniczy i chemiczny, handel — realizator zamówień i resort budownictwa — główny koordynator wszelkich przedsięwzięć w zakresie przemysłu mieszkaniowego. Wędrując z czterech chcieli naraz, można by tym, co dziś oglądamy na wystawach, już wkrótce cieszyć oko we własnym mieszkaniu.

(T. G.)

„SSACZE” DOMOWE

ANDRZEJ NAŁĘCZ – JAWECKI

Najwięcej energii elektrycznej zużywa przemysł – ok. 75 proc. Z pozostałej części kilkanaście procent przypada na odbiorców indywidualnych. Mimo że głównych oszczędności należy szukać w przemyśle – o czym pisaliśmy niedawno¹⁾ – w sprawniejszym przetwarzaniu energii cieplnej w elektryczną, to jednak celowe jest poszukiwanie możliwości zaoszczędzenia kilowatogodzin również w naszych mieszkaniach. Dlatego głównie, że „mieszkaniowy” pobór przypada na tzw. szczyt energetyczny.

ROZPATRUJĄC problemy energetyczne, trzeba rozstrzygać dwie sprawy: moc oraz ilość zużywanej energii. Energię elektryczną (czyli kWh) uzyskuje się zużywając potężne ilości surowców energetycznych (węgiel). A więc oszczędność prądu równoznaczna jest z oszczędnością surowców, o które coraz trudniej.

O zdolności produkowania energii elektrycznej (czyli mocy – kW) będziemy musieli mówić przy rozpatrywaniu szczytów obciążenia. Elektrownie mogą dawać (przez całą dobę) określoną ilość energii. Nie można jednak prądu magazynować (jak mąkę) w okresach mniejszego obciążenia, by czerpać z zapasów w okresach szczytów. A więc ważną sprawą jest także równomierne, niejednoczesne pobieranie energii.

WAT DO WATA

Do mieszkań zakupujemy coraz więcej urządzeń elektrycznych i elektronicznych – można byłoby ich naliczyć co najmniej ćwierć setki. Oczywiście, wszystkich tych odbiorców nie można traktować jednakowo. Średniej wielkości piecyk elektryczny ma pobór mocy rzędu 2–3 kW, a więc „wypali” w ciągu doby ok. 30–50 kWh. Stuwatowa żarówka w ciągu doby nie zużyje nawet 1 kWh. Popularne radio sieciowe – o poborze mocy 15 W – w ciągu całego miesiąca może nie zużyć tej 1 kWh.

Pojedynczy radiodiodownik zużywa w ciągu miesiąca maksimum 15–20 kWh, za co zapłaci użytkownik 13–18 złotych. Jak podaje Rocznik Statystyczny, abonentów radiowych jest około 8 milionów. A więc zużywają nasze radiodiodowniki łącznie 200–300 kWh w ciągu godziny.

Abonentów telewizyjnych jest ponad 6 mln. Jeśli przyjmujemy, że przeciętny telewizor pobiera moc 140 W, to otrzymamy globalny pobór mocy rzędu 850 000 kWh. Zatem w ciągu godziny zużywają telewizory ok. 850 000 kWh.

W skali całej gospodarki są to już potężne ilości. Aby nastarczyć energii do odbioru np. telewizyjnej „kobry”, trzeba uruchomić tzw. szczytową elektrownię o mocy 850 MW. Aby zaspokoić potrzeby energetyczne gospodarstw domowych (wszystkie odbiorniki), musi pracować bez przerwy kilka elektrowni...

Gdybyśmy włączali wszystkie odbiorniki energii (w przemyśle, domach, transporcie itd.) jednocześnie, to okazałoby się, że dysponujemy za małą mocą elektryczną. Konsekwencją przeciążenia byłoby automatycznie wyłączenie całych grup odbiorców...

Szczyty obciążenia – zwłaszcza w miesiącach jesienno-zimowych, przypadają na godziny 6–13 oraz 16–22. Podczas wieczornego szczytu transport kolejowy i przemysł pobiera

55–60 proc. wyprodukowanej energii, resztę gospodarka komunalna (oświetlenie ulic, tramwaje itp.) oraz własne odbiory indywidualni.

A więc dobrze byłoby, gdyby każdy z nas pamiętał – we własnym interesie – że np. pranie i prasowanie najlepiej jest wykonywać w godzinach 13–16. Trzeba pamiętać, że w godzinach wieczornych każde kilka watów może być tą przysłówkową ostatnią kroplą...

DZIAŁANIA DORAŻNE

Co zrobić, aby wysysać mniej kilowatów, nie zmniejszając, rzecz jasna, wygody (i przyjemności), jakiej dostarcza korzystanie z tej całej gamy urządzeń elektrycznych i elektronicznych. Można tu doszukać się działań doraźnych i długofalowych. Gdyby tak każdy z nas zorganizował w domu „tydzień oszczędzania prądu”, to okazałoby się, że jednak każda rodzina marnuje (bez potrzeby) ileś tam energii dziennie.

Jakże często można zaobserwować, że zaraz po przyjeździe do pracy włącza się telewizor, który pracuje potem bez przerwy, aż do hymnu. Po co? Niektóre gospodynie piorą bieliznę nie 5, lecz 15 minut – nie nie zyskując, a raczej niszcząc tę bieliznę. Po co? A propos tej ostatniej sprawy – warto byłoby wydać poradnik racjonalnego prania domowego.

Albo możliwości oszczędzania należy szukać nie tylko w samym domu użytkownika. Równie wielkie oszczędności można poczynić normując przynajmniej kilka dziedzin, na które nie ma wpływu indywidualny konsument energii elektrycznej.

Pierwsza sprawa – to sprawne funkcjonowanie ogrzewania centralnego. Jest oczywiste, że nikt nie będzie na jesieni i w zimie dobrowolnie marznął, ani też ryzykował przeziębienia czy grypy. Nie funkcjonujące c.o. równa się włączeniu tysięcy przenośnych piecyków elektrycznych. Najmniejszy z nich – ogrzewacz „OW-1” – ma pobór mocy 1,3 kW. A więc zużywa on pięćdziesiąt razy więcej energii niż wszystkie pozostałe urządzenia razem. Średniej wielkości ogrzewacz w ciągu godziny zużywa 3 kWh, a więc na dobę 72 kWh. Wystarczy więc trzy dni chłodu – przy nie działającym c.o. – by odbiorca indywidualny zużył miesięczną porcję energii elektrycznej.

Jest więc sprawą niezwykle ważną, by władze terenowe dopilnowały terminowego uruchamiania i sprawnego funkcjonowania sieci ciepłowniczej. Dostarczenie ciepła przez c.o. jest daleko efektywniejsze dla gospodarki i energetyki (i wygodniejsze dla użytkowników) niż przez elektryczne „słońca”.

Druga sprawa – gaz płynny. Obecnie w całym kraju korzysta z gazu płynnego ponad 1,3 mln gospodarstw domowych. Z reguły gaz ten wykorzystywany jest do kilkupalnikowych kuchenek. W ostatnim okresie prawie 1/3 odbiorców narzeka na nieterminowe dostawy tego gazu. Co robić w domach, w których zabrakło gazu? Kuchenkę gazową zastępuje się elektryczną, która „pobiera” 1–2 kW. Przez 2–3 godziny dziennie „ssie” jedno gospodarstwo 2–6 kW. Wnioski są tu oczywiste...

Trzecia sprawa dotyczy samych przedsiębiorstw energetycznych. O toż w wielu regionach kraju występują tzw. spadki napięcia w sieci. Aby mieć dobry odbiór telewizyjny, tysiące abonentów kupuje tzw. stabilizatory napięcia (ok. 1000 zł dla telewizora czarno-białego, ok. 2000 zł dla OTV Color). Sprawność tego stabilizatora wynosi ok. 0,7. A więc telewizor „Libra” mający pobór mocy 140 W, razem ze stabilizatorem pobiera 200 W. Dalej, jeśli w jakimś domu jest kilku posiadaczy telewizorów i jeden z nich zamontuje stabilizator, to tym samym zmusza pozostałych do jego kupna.

Jest to spora sprawa – rocznie sprzedaje się w sklepach elektrotechnicznych około 50 tys. stabilizatorów. Po przeleceniu, znów natrafimy na tysiące kWh... marnotrawionych. A więc doprowadzenie do ustabilizowania napięcia sieciowego dałoby kolejne oszczędności, nie mówiąc już o tym, że odchylki od 220 V źle wpływają na funkcjonowanie innych, poza telewizorem, odbiorników.

DOŚKONALENIE KONSTRUKCJI

Byłoby krzywdzące posadzać konstruktorów sprzętu gospodarstwa domowego i sprzętu elektronicznego, że lekceważą przy projektowaniu sprawę minimalizacji poboru mocy danego urządzenia. Tak nie jest, o czym świadczą choćby nowe żelazka elektryczne, zużywające ok. 50 proc. energii mniej niż tradycyjne żelazka bez termoregulatora.

Oczywiście, nie można robić tu zbyt wielu uproszczeń i nawoływać do zmniejszania jednego parametru urządzenia (jakim jest pobór mocy) w oderwaniu od innych. Liczą się też np. koszty wytwarzania, dostępność materiałów i podzespołów, dewizochłonność niektórych części itd.

Takim kontrowersyjnym przykładem jest sprawa chłodziarek. Lodówki kompresorowe (sprężarkowe) zużywają w ciągu doby: „Polar-125” – 1,15 kWh, „Polar-180” – 1,4 kWh; natomiast chłodziarka absorpcyjna „Polar-80” – 2,1 kWh. Na pierwszy rzut oka, wypadłoby bez wahania nawoływać do zaprzestania produkcji lodówek absorpcyjnych. Ale... koszty produkcji lodówek absorpcyjnych są dużo niższe, niż sprężarkowej. Te drugie wymagają zastosowania silniczka i sprężarki – które to urządzenia psują się częściej niż absorpcyjne. Po trzecie – absorpcyjne pracują bezszmerowo, co też się liczy. I t.d.

Albo są też dziedziny, w których energooszczędne zmiany konstrukcyjne są we wszelkich miar pożądanymi, jednak postęp odbywa się niezwykle powoli. Przykładem jest tranzystoryzacja sprzętu elektronicznego.

W styczniu 1963 roku wydrukowaliśmy artykuł „Tranzystory kontra lampy”²⁾. Przytoczył jeden fragment:



Fot. S. ZUBCZEWSKI

„Gdyby nasz przemysł rozwijał produkcję odbiorników radiowych i telewizyjnych wyłącznie lampowych, równałoby się to poborowi mocy w okresie szczytu w roku 1970 rzędu 810 MW (a więc średniej elektrowni), zaś w roku 1980 – ok. 2500 MW (Turbozów ma mieć docelowo moc ok. 2000 MW). Gdyby te urządzenia pracowały na tranzystorach, to pobierałyby ok. 1950 MW mniej (w 1980 roku)!”

Rok 1976: Dość duży postęp odnotować można w konstrukcji radiodiodowników. Popularne odbiorniki lampowe miały pobór mocy rzędu 40–60 W, nowoczesne mają pobór mocy ok. 15 W. Nowoczesne, tzn. na tranzystorach. Już od kilku lat nie produkują się radiodiodowniki z lampami. Zaznaczmy w tym miejscu, że przejście z tranzystorów na układy scalone w zasadzie nie obniżyła prądochłonności odbiorników.

O ile jednak przy produkcji radiodiodowników udało się sprawnie zastosować tranzystory, to w telewizorach idzie to oporne. Przyjrzyjmy się sprawie bliżej.

W odbiorniku „Libra” zainstalowane jest pięć lamp. Każda lampka ma tzw. obwód żarzenia, który zużywa

spora porcję energii – w przypadku „Libry” pobór mocy obwodów żarzenia tych lamp wynosi ok. 24 W. Gdyby lampy zastąpić tranzystorami, to zmniejszyłoby „ssanie” o te 24 W. Ponadto uzyskalibyśmy znacznie obniżenie temperatury (25 st. – 40 st.C) wewnątrz telewizora. Jest to istotne, ponieważ podzespoły elektroniczne odporne na wysoką temperaturę są kosztowne. Dalszy „skutek uboczny”, to zwiększenie niezawodności odbiorników – tranzystory odznaczają się wielokrotnie dłuższą żywotnością, niż lampy. Dalej, półprzewodniki wykazują większą odporność na zmiany napięcia w sieci. I t.d., i t.d.

Wydaje się więc, że przemysł elektroniczny powinien energiczniej doprowadzić do unowocześnienia (konstrukcyjnego) odbiorników telewizyjnych. Ani odbiorców indywidualnych, ani gospodarki narodowej nie obchodziłaby tarcia i nieskoordynowanie współpracy fabryk w łonie „Unitry”³⁾.

24-calowa „Libra” ma pobór mocy 140 W, 24-calowy „Grundig” – 85 W, a również 24-calowy radziecki „Elektron-216” – 80 W. Różnice są wielkie.

Dodajmy, że kolorowy telewizor „Grundiga” 20-calowy ma moc 100 W...

★

Poruszyłem kilka zaledwie spraw związanych z możliwościami zaoszczędzenia energii elektrycznej w gospodarstwach domowych. Możliwości takich jest znacznie więcej (choćby stosowanie tyrystorów) i leżą w różnych obszarach. Jedne z nich są wprost oczywiste, inne złożone.

Niemniej jednak każdy ma tu coś do zrobienia. Zarówno indywidualni odbiorcy – racjonalnie używając sprzęt; producenci sprzętu – szybko stosując postęp techniczny; energetycy – normując warunki odbioru tejże energii, jak i wreszcie władze terenowe – usprawniając dziedzinę (gaz, c.o.) mające istotny wpływ na zużycie energii.

Wnioskiem końcowym niech będzie zaapelowanie o wykorzystanie – w naszym wspólnym interesie – tych możliwości.

¹⁾ L. Froelich – „Racjonalnie gospodarować energią”, „Z.G.” nr 4/1976 r.
²⁾ W. Dudziński – „Tranzystory kontra lampy”, „Z.G.” nr 4/1966 r.
³⁾ A. Nałęcz-Jawęcki – „Jakość scalone”, „Z.G.” nr 6/1976 r.

żadnych statystykach tego nie piszą. A po co mają pisać... My się trzymamy razem i wiemy, że jesteśmy lepsi, bo mamy więcej odwagi i fantazji. Właśnie to... No, chociaż nie wszyscy trzymamy się razem, to tu, za oknem kawiarni, stoi sobie przyprzątnięty kontroler autobusowy, też z naszymi, ale bez tego ducha i tego zmysłu. Więc jest tylko kontrolerem autobusów miejskich z chudą pensją, z czworogłosem dzieci i nadzieją na powrót do ojczyzny, bo tylko tam będzie mógł te dzieci wykastować. Nie podaję mu ręki, bo i jak: przecież mam dwa domy w Szwajcarii i kilka interesów tutaj. No i to właśnie...

Chce pan wiedzieć, na czym TO polega? Dobrze, powiem, przecież rozstaliśmy się jak nieznajomi. Przyjeżdżam na granicę w środku nocy. Tak, tylko w środku nocy, ponieważ wówczas wychodził do mnie tylko jeden zaspany celnik. Wyciągam do niego rękę na powitanie jak do dobrego znajomego, on zaspany, a ja czujny, napięty. Celnik salutuje, a ja jadę dalej przez deszcz i ciemność. Jeśli wychodzi celniczka, muszę szczególnie uważać z tym uściskiem dłoni – kobiety są gorsze i bardziej zawzięte. Pyta pan, czy ta ręka – tak szczerze do uścisku wyciągnięta – pusta jest aby na pewno? Co ja będę wyjawiał swoje tajemnice... Na tureckiej granicy na pewno nie pusta, chociaż na szczęście na tureckiej granicy nie stoją celnicy, tylko mężczyźni zaspali jak najbardziej. Tutejszy celnik płacę ma niedużo, ale Mercedesem jeździ; odpowiedni banknot zmienia właściciela razem z wymianą uścisków. A potem to już bywa różnie na kolejnych granicach. Bułgaria, Jugosławia, Austria... Niech sobie każdy dopiepie, co chce. Pyta pan, co ja mam takiego w samochodzie? Ano, nie specjalnego: zabieram stąd dwadzieścia

kożuchów i trochę złota. Ale są to kożuchy nie od kusiernicy bazarowych, tylko specjalnie robione w specjalnym moim warsztacie; nie zaszkodzi im byle deszcz, o czym moi wypróbowani przyjaciele dobrze wiedzą. Ale nie jest to także złoto bazarowe, byle czym spawane, takie, co próby na Elektorale nie wytrzyma. To jest złoto specjalne, przygotowane według waszych przepisów i waszych norm, o czym moi wypróbowani przyjaciele wiedzą równie dobrze.

No i tak. Oczywiście... Do Polski, między innymi, też trafia. „Cracovia” – hotel, „Forum” – hotel... i tak dalej, i tak dalej... W Polsce kupuję różne rzeczy, za które dostaję w Istambule tyleż samo, ale w lirach tureckich. No i w drodze powrotnej, mijając – zawsze w środku nocy – kolejne kordony. Wstępuję do Wiednia, kupuję tam silnik do samochodu lub łodzi motorowej. Z każdej podróży odliczając tapówki, koszty utrzymania i tak dalej – mam wiele dobrej zabawy, mnóstwo szampańskich wspomnień i około pięciu tysięcy dolarów ulokowanych w złocie za pośrednictwem niezawodnych wiertarek, silników i innego technicznego baracha.

No i co, cóż wy – drobni ciulacze, drobni przemysłnicy dwu żelazek, jednego kryształ, handlarze paru ręczników frottowych – wiecie o głębockich nurtach tego samego prądu, co i was niesie? Tak, pracuję sam dla siebie, mam nawet dwu młodszych chłopaków, podobnie jak ja niegdyś, zaczynających pływanię po tych wodach; finansuję więc ich wyprawy oraz ich lewe paszporty. Czy się nie boję? A co pan, szary pylek na szlaku turystyki – drżący przed złym humorem policjanta drogowego i dobrym dnem bazarowego oszusta – może wiedzieć o smaku wielkiego ryzyka i wielkiej przygody?

To jest moje prawdziwe życie, to jest mój rwać nurt.

Ze kiedyś muszę wpaść? A kto to powiedział? Kiedy mój zmysł, moje promieniowanie, ostrzeża o zbliżającym się sztormie, zauracam, szukając bardziej sprzyjającej nocy. Ze mógłbym się z tego wycofać i osiąść w swojej willi szwajcarskiej? A jak ja będę żył bez tych nocy, bez tego smaku, bez tych nagłych pieniędzy?

Ze ja nie mam wcale tej willi, ani tego obywatelstwa – miasteczka Andermatt u stóp przełęczy św. Gotharda? Może, ale skąd pan wie, co mam naprawdę, i skąd jestem, i dokąd zmierzam? Może pan sobie tylko zobaczyć ceny, kursy i relacje, wyciągnąć z tego wnioski. Widział pan wasze wiertarki w tutejszych warsztatach? Mogę pokazać wasz sprzęt dentystyczny, narzędzia, maszynę. Wy ekonomisci, mówicie o różnicach w uprzemysłowieniu, o trzecim świecie, o luce technologicznej, o nożycach cen i innych tam teoretycznych duperełkach. Ja z tego wyciągam wnioski oczywiste i jedynie słuszne: jestem najgorliwszym praktykiem waszej papierowej wiedzy. Znowu pan gada, że mogę wpaść? Ze mogę natrafić na przyciasne oczko w którymś kordonie, na zbyt docieklitą celniczkę, choćby Wasz? Dość tego! Proszę wypuścić te słowa! I odpukać. To są złe słowa, które mogą mi przynieść nieszczęście, jak przekleństwo. Proszę stąd iść! Ze to się musi tak skończyć? Pewno, że musi, dlatego nie życzę sobie, żeby mi przypominało. Zbyt w to wrośłem. Może spotka mnie pan jeszcze kiedyś w środku nocy na którejś z licznych granic, ale będzie zbyt ciemno, aby zobaczyć, że jestem spokojny mimo chłodu.”

Zanotował:
JERZY SURDYKOWSKI



Fot. J. CZERNIAK

CENA URBANIZACJI

JOANNA KWIEK



Fot. CAF

Korzyści sumują się, kiedy wybieracie Państwo maszynę ROBOTRON 1040

Jest rzeczą absolutnie obojętną, czy zamierzacie Państwo zastosować elektroniczną technikę komputerową w przemyśle, w nauce i technice czy też do rozwiązywania zadań komercyjnych. To zależy od Was.

Ale system przetwarzania danych do tego celu stawiamy Wam do dyspozycji: ROBOTRON 1040 — prawdziwy wielozadaniowy system z rodziny jednolitych maszyn liczących — ESER (RIAD). Komputery ROBOTRON tego typu sprawdziły się we wszystkich dziedzinach gospodarki.

ROBOTRON EC 1040 przedstawia sobą system przetwarzania danych odpowiadający wszystkim wymaganiom nowoczesnej techniki i gospodarczego kierowania przedsiębiorstwem.

Bardzo wydajna jednostka centralna uzupełniona jest całym szeregiem urządzeń peryferyjnych, łącznie ze zdalnym przetwarzaniem danych, końcówkami monitorowymi i wspieraną przez komputer techniką mikrofilmową. Systemy robocze DOS/ES i OS/ES oraz zorientowane problemowo pakiety programowe wspierają Was przy wprowadzaniu i wykorzystywaniu systemu. Do dyspozycji macie Państwo nasze szkolenie i serwis, jak również pomoc przy projektowaniu.

Wykorzystajcie również Państwo zalety, które oferuje Wam ROBOTRON.

Prosimy odwiedzić nas na wiosennych Targach Lipskich. 13.3.—20.3.1977, teren wystawowy. Hala 15 (wystawa). Hala 12.12 (Biuro eksportowo-importowe).

Biuro Generalnych Dostaw, Mera-Elwro — Service, Wrocław, ul. Ostrowskiego 32.

Rdzeniem ROBOTRON'a EC 1040

jest jednostka centralna EC 2640.

Szybkość: 380 000 operacji/sekundę.

Pojemność pamięci głównej:

od 256 KB do 1014 KB.

Zestaw rozkazów: 143 rozkazy.

Czas dostępu:

450 ns (nanosekund, 1 ns = 10⁻⁹ s).

robotron

Exporteur:

bme

Büromaschinen-Export GmbH Berlin
DDR-108 Berlin,
Friedrichstraße 61
Deutsche
Demokratische
Republik



To musi być wielka frajda dla architekta planować nowe osiedla w terenie, gdzie jedynymi punktami do uwzględnienia są warunki topograficzne, stworzone przez naturę. Zupełnie inaczej wygląda to samo zadanie w przypadku obszarów już zabudowanych. To prawdziwa wiwisekcja, zwłaszcza jeśli się odbywa pod hasłem nie tylko uporządkowania, ale również zagęszczenia zabudowy.

Odwolania płyną jak rwąca rzeka, a gorycz w sercach i żale grożą niemal powodzią. Pan architekt lekką rączką zabiera mój sad, niweczy trud ułożony w urządzenie warzywnego ogródka. Gdzie teraz postawię kurnik, komórkę na węgiel? Co wreszcie zrobić z szambem i ze studnią, które z natury rzeczy muszą być od siebie oddalone?

Sprawa posesji przy ul. Sadowej, należącej do czterech braci i siostry rodziny W. nie jest więc wyjątkowa. Może tylko z powodu toczącego się między rodzeństwem procesu o zniesienie współwłasności, problemy spiętrzyły się i zaostrzyły.

Gdy w Biurze Planowania Rozwoju Planowania Warszawy pytam o osiedle Malichy w Pruszkowie, wszyscy od razu trafiają w dziesiątkę: Pani na pewno chodzi o działkę braci W. Nie jedynie to wprawdzie odwołanie mieszkańców tej dzielnicy od przedstawionego im projektu zabudowy, ale protesty rodziny W. — choćby z powodu 5-osobowej obsady jednej sprawy. Zawsze — bo obecny projekt, który uzyskał aprobatę Rady Technicznej Biura i wygląda na to, że Pruszków go zatwierdzi, jest piątym z kolei planem. Poprzednie były opracowywane w dawnym podziale administracyjnym, kiedy to zadanie należało do wojewódzkich pracowni architektury i urbanistyki. Żaden z tych projektów nie wyszedł z etapu dyskusji. Lata płynęły, Pruszków zwłaszcza w ostatnich kilku latach rozbudowywał się bardzo dynamicznie bez żadnej ustalonej koncepcji, nie oszczędzając gruntu na pojedyncze działki. I w tę oto sytuację wkracza ustawa o terenach dla budownictwa jednorodzinnego i zagrodowego oraz o podziale nieruchomości w miastach i osiedlach z 10 lipca 1972 r. Plany ogólne uznają Pruszków nie wyłączając tej dzielnicy — co musi być oczywiste nawet dla laika — za teren budownictwa jednorodzinnego. A więc, w myśl ustawy, zabudowanego gęsto (działka normatywna nie przekracza 450 m² powierzchni).

Plan szczegółowy dla Pruszkowa stanowi realizację tej zasady. Czerwona linia określa tereny zabudowy od gruntów rolnych — tutaj szczególnie cennych, bo drugiej i trzeciej klasy — hamując ekspansję budownictwa, które nie może ich pochłoniąć. W obrębie tej czerwonej linii trzeba zaplanować taką zabudowę, by znacznie więcej ludzi niż obecnie znalazło mieszkania. Wymaga tego stały wzrost liczby mieszkańców Pruszkowa, związany ściśle z rozwojem funkcji gospodarczych tego miasta. Dzielenie istniejących działek budowlanych, zamieszkałych od dziesięcioleci przez jedną rodzinę, stało się więc nieuchronne.

Dla rodzeństwa W. posesja i znajdujący się na niej spory drewniany dom jest schedą po zmarłych rodzicach, którzy zamieszkali tutaj po wojnie. Wciąż sprawa mogłaby być o tyle łatwiejsza, że zniesienie współwłasności dzieli jednocześnie działkę na kawałki mieszczące się w normatywie.

Projektant podzielił posesję na pięć działek budowlanych, wytyczył nowe drogi dojazdowe. Protest przeciwko jego propozycjom podniosło trzech braci mających dziedziczyć, zgodnie z rodzinnym porozumieniem, części od strony kolejki WKD. W odwołaniu do naczelnika Urzędu Miejskiego w Pruszkowie napisali, że wbrew intencjom ustawodawcy projekt planu podziału pozbawia możliwości prawidłowego użytkowania istniejącej zabudowy. Zarzut dotyczy przede wszystkim działki, na której znajduje się dom. Projekt odejma od niej budynek gospodarczy, ubikację, studnię i okna inspektowe z kawałkiem ziemi uprawnej, którą w wielkości przynajmniej działki pracowniczej bracia W. chcieliby również widzieć w sąsiedztwie domu. Z powiększenia zasiedlonej działki wynika konieczność przesunięcia granicy północnej dwóch następnych działek — czyli zbliżenie ich do kolejki WKD.

By pozyskać sojusznika, bracia W. piszą do komórki Urzędu do spraw rolnictwa, leśnictwa i skupu:

„Upieramy się o pomoc w uzyskaniu możliwych warunków do utrzymania dalszej produkcji artykułów ogrodniczych po likwidowanym gospodarstwie rolnym przy ul. Sadowej. (...) Chociaż uprawa ta będzie drobna, działkowa, jednak sumą takich upraw ma znaczny wpływ na uzupełnienie rynku artykułów spożywczych”.

Wydział Architektury, Gospodarki Komunalnej i Spraw Lokalowych Urzędu Miejskiego nie uwzględnił odwołania braci W. Wystąpili więc ze skargą do wiceprezydenta Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, skąd powędrowała ona do Biura Planowania Rozwoju Warszawy.

Czy można by zaprojektować inny podział, uwzględniający choćby część postulatów braci W.? Drogi dojazdowe nie mogą być węższe niż 5 m, ponieważ wtedy w przyszłości będzie przebiegać uzbrojenie terenu. Mogłyby wprawdzie przebiegać inaczej, ale wówczas musiałby być dłuższe o 2 m, a więc droższe (co jest ważne z punktu widzenia funduszy miejskich). Północna granica działki zasiedlonej nie musi przecinać studni, a południowa — orzecha włoskiego, bo choć wytyczona na planie jako prosta, w rzeczywistości za zgodą sąsiadów może być łamana. Lecz całe sedno sprawy tkwi w strefie ochron-

nej ciszy. Pracownia Ochrony Środowiska po wnikliwej analizie sytuacji i zmierzaniu decybeli wydała ekspertyzę, że strefa ta musi wynosić co najmniej 65 m, i to pod warunkiem właściwego jej zadźwiewienia. Przeprowadziwszy linię oddaloną o 65 m od osi torów, projektant otrzymał północną granicę ostatniej z działek posesji rodzeństwa W., oddzielającą kawałek dotychczas użytkowanej ziemi. Musiał ją przetraktować nieco liberalnie, gdyż inaczej w ogóle nie zdołałby działki podzielić na 5 części, czego wnioskodawcy przecież sobie życzą.

Wszystko jest więc leże artis. Co więcej: posesja ta, jak i całe Malichy została potraktowana wyjątkowo, gdyż projektant zdobył zgodę na podwójny normatyw działek budowlanych ze względu na istniejące tam piękne zadrzewienie.

Z projektu zabudowy przeniesmy się na ziemię. Malichy są rzeczywiście piękne nawet w tej styczniowo — niespodziewanie wiosennej aurze. Stare drzewa, sady, ogródki z opatulonymi krzewami róż, przykrytymi słomą grządkami. Pejzaż przypomina bardziej wieś, niż dzielnicę miasta. Ale wieś współczesna, budująca się na potęgę. Nowe domy, nie znajdując innego terenu, zbliżają się coraz bardziej do torów. Ostatni, jeszcze w budowie, stoi tak blisko, że z jego okna będzie można pasażerem w pociągu podawać kawę. I jak mogą to pojąć bracia W., że tam, gdzie inni stawiają domy, oni nie mogą nawet mieć sadu i uprawiać kontraktowanego koperku?

Wątpliwe, by w chwili wydawania zezwoleń na budowę domów tak blisko torów nie obowiązywały żadne strefy ochronne, a sprawę pozostawiono instyktowi samozachowawczemu przyszłych ich mieszkańców. Powstaje zatem wątpliwość: jaką moc prawną mają przepisy o ochronie środowiska (do którego w tym wypadku ludzi się także zalicza). Pruszków jest tylko drobnoludkiem przykładem, że moc życia i warunków obiektywnych może prawną znacznie podważać. Bracia W. pytają więc nie bez słuszności: Dlaczego — naszym przypadkiem prawo jest tak rygorystyczne?

Odpowiedź jest mało budująca, ale prawdziwa: po prostu się spóźnili. Gdyby podział rodzinny przeprowadzili nieco wcześniej, w czasie liberalnego, żeby nie powiedzieć bałaganarskiego, traktowania tych spraw, a stan posiadania przyklepali porządnym ogrodzeniem, nikt by ich nie ruszył. Bo tak właśnie się dzieje z innymi posesjami, graniczącymi z kolejką. Nawet jeśli projekt dzieli je na mniejsze działki, nie odbiera im tego, co leży w strefie ochronnej. Natomiast wszystkie, bardzo zresztą nieliczne, działki niezagospodarowane, zostały potraktowane analogicznie jak własność braci W.

Na tym stwierdzeniu trudno sprawę zakończyć. Strefa ochronna, której potrzeby nie sposób kwestionować, nie urodzi się wyłącznie z zastosowania właściwego przepisu i to w stosunku do niktnej części terenu. W przypadku osiedla Malichy ma być to (wg wspomnianej wyżej ekspertyzy), pas zwartej ziemi, na przemian wysokiej i niskiej, składającej się z drzew sadzonych w czterech rogach kwadratu i jeszcze jednego pośrodku. A zatem w przypadku Malich, gdzie leżące w tej strefie nowe domy będą żyły przynajmniej sto lat, jest to całkowita utopia. Sądzę, że do tego czasu zdołamy wyjaśnić kwestię, kto ma tę zieleni sadzić i pielęgnować.

Boję się stwierdzenia, że stosowanie prawa nie może być sztuką dla sztuki, bo głęboko wierzę, że wszelka tu dowolność kształtuje zgubne przekonanie o względności prawa w ogóle. Ale z drugiej strony socjalistyczne ustawodawstwo powojennej Polski honoruje potrzebę pewnej elastyczności, stwarzając furtkę dla wyjątkowych sytuacji i możliwości niwelowania krzywdy, która mogłaby wyniknąć, jeśli by się trzymał ściśle litery prawa. (Jest to zawarta w kodeksie cywilnym zasada o konieczności uwzględniania zasad współżycia społecznego).

Myślę więc, że skoro Malichy są skazane na tymczasowość i to tak długotrwałą, można by się pokusić o równie tymczasowe potraktowanie północnej granicy posesji rodzeństwa W. Nie wyobrażam sobie także, by prawnicy nie zdołali pokonać komplikacji płynących z faktu, że na działce budowlanej musi w określonym czasie stanąć dom, a tutaj by nie stanął — tylko rosły drzewa owocowe.

Proces o zniesienie współwłasności przybliżył projekt do realizacji, która w przypadku całego osiedla jest sprawą przyszłości. Jak odległej? Powinno to być ściśle zsynchronizowane z planami uzbrojenia terenu. Wiedzy znikną problemy dziś tak bulwersujące mieszkańców Malich: jak na takim skrawku ziemi pogodzić ze sobą szambo i studnię, nie mówiąc o tym, że nikomu się nie uśmiecha budowanie nowych. Dlatego o tym nie wiedząc, że projektant, kreśląc nowe drogi przez ich szamba, komórki na węgiel i studnie, chociaż ich spis tak skrupulatnie sporządził, jako podstawowe założenie przyjął, że dzieli teren uzbrojony? Plan zabudowy jest przecież z natury rzeczy planem docelowym; jeśli ma być coś wart, musi starczyć na dziesiątki lat. Uznanie dzielnicy za teren budownictwa jednorodzinnego niesie dla jej mieszkańców nie tylko zagęszczenie, konieczność rezygnacji z pożytecznych skądinąd rolniczych upodobań, ale również wygodę w postaci miejskiej kanalizacji, gazu, utwardzonych dróg. To pewnie, że nie dla wszystkich to rekompensata. Ale taka jest cena urbanizacji. Najpierw rezygnujemy z sadu, zmniejszamy ogródek przed domem do rozmiarów łazienki. A potem ustawiamy nasze mieszkania w domy, coraz wyższe i wyższe.

CZY MAMY ZA DUŻO BIOLOGÓW?

JÓZEFINA HRYNKIEWICZ

NIE wiadomo, czy większym szczęściem jest dostać się na biologię i ukończyć ją, czy potem otrzymać pracę zgodną z wykształceniem?

Biologia od wielu lat jest kierunkiem bardzo popularnym wśród młodzieży; nierzadko na jedno miejsce zgłasza się 7-8, a nawet dziesięciu kandydatów.

KSZTAŁCENIE

Studia biologiczne zaliczane są do tzw. trudnych kierunków. Wymagają od studentów ogromnej i systematycznej pracy, opanowania nie tylko wiedzy biologicznej, ale także chemii, fizyki, matematyki. Nie są to studia, przez które można „jakos tam przejść”. Odsiew studentów, mimo bardzo ostrej selekcji kandydatów, należy do najwyższych w uniwersytetach. Według powszechnej opinii, absolwenci biologii są bardzo dobrze przygotowani.

Biologów kształci 9 uniwersytetów (6684 osoby) oraz 5 wyższych szkół pedagogicznych (1512 osób). Wszędzie uczelnie kształcą nauczycieli biologii. We wszystkich uniwersytetach są specjalizacje z zakresu biologii ogólnej i środowiskowej. Ponadto trzy uniwersytety — warszawski, lubelski i łódzki kształcą mikrobiologów i cztery (dochołki Jagielloński) biochemików.

W informatorze dla kandydatów na studia wyższe przed absolwentami biologii otwierają się atrakcyjne możliwości zatrudnienia. Mogą więc biologowie pracować w instytucjach naukowych, gospodarstwach komunalnych, leśnictwie, rolnictwie, służbie zdrowia, zarządcach zieleni miejskiej, laboratoriach wszystkich branż, redakcjach przyrodniczych oraz w szkolnictwie.

Prasowe akcje dotyczące ochrony przyrody stworzyły flurze, że na biologów czeka przemysł. W dziesięciu politechnikach powołano nawet nowe kierunki studiów przygotowujące inżynierów — specjalistów z zakresu ochrony przyrody.

ZATRUDNIENIE

Tymczasem w 1973 roku sytuacja na rynku pracy biologów stała się już alarmująca, mimo że politechniki nie dostarczały jeszcze absolwentów. W Warszawie, gdzie znajduje się najwięcej miejsc pracy dla biologów (Instytut naukowe PAN, uczelnia i resorty, centralne laboratoria) nikt nie zabiegał o absolwentów.

Wydział Biologii UW od 1973 roku rozsyła do potencjalnych pracodawców ankietę, żeby zorientować się w potrzebach i ewentualnych możliwościach zatrudnienia biologów wg kierunków specjalizacyjnych. W 1973 roku np. rozesłano 109 ankiet do różnych instytucji, które mogą być potencjalnie zainteresowane zatrudnieniem absolwentów: 72 instytucje po prostu nie odpisały na ankietę, 20 instytucji odpowiedziało negatywnie, pozostałe 17 deklarowało chęć zatrudnienia pod warunkiem uzyskania etatów.

W sumie w latach 1973-1976 zainteresowane instytucje, bez szkolnictwa podstawowego i średniego, de-

klarowały chęć (ale nie gwarantowały) zatrudnienia 16 zoologów, 4 botaników, 18 mikrobiologów i 49 biochemików. W zgłoszonych wstępnie zapotrzebowaniach zawarte są także możliwości przyjęcia na studia doktoranckie, ale znów bez gwarancji zatrudnienia po uzyskaniu stopnia doktora.

Z kolei Stołeczny Wydział Zatrudnienia rozesłał ankietę do absolwentów kierunków studiów nie objętych ustawą o planowym zatrudnieniu z 1973 roku. Interesowano się głównie zgodnością zatrudnienia z wykształceniem, drogami uzyskiwania pracy, wynagrodzeniem, zadowoleniem z wykonywanej pracy itd. Odpowiedzi nadesłane przez absolwentów wydziału biologii nie są optymistyczną lekturą.

Pracę uzyskiwali najczęściej za pośrednictwem znajomych. W kilku wypadkach pomocny okazał się własny upór: „Wychodziłem i wyprosiłem po pół roku, ale chodziłem tam codziennie”. Najbardziej niechętnie dla biologów jest praca w instytucjach naukowo-badawczych. Zatrudnieni są tam zgodnie ze swoją specjalizacją. W pozostałych instytucjach (służba zdrowia, przemysł) wykonują prace, które, ich zdaniem, z powodzeniem można by powierzyć laborantom lub nawet maturzystom.

Zgodnie z uzyskaną specjalizacją pracowało tylko 34 proc. absolwentów odpowiadających na ankietę (nie można tego odnieść do całej populacji, bo częściej odpisywali na ankietę niezadowoleni). Z badań GUS dotyczących absolwentów kierunków przyrodniczych z 1971 roku, wynika, że 28 proc. zatrudnionych było niezgodnie z wyuczonym zawodem.

Ile zarabiają? Zadowoleni z pracy uzyskanej dzięki własnej pomysłowości trochę mniej od tych, którzy też są zadowoleni, ale mają na dołatek właściwych znajomych. Najwięcej (2500 plus 50 proc. premii) zarabia mikrobiolog na stanowisku kierowniczym w urzędzie. Wykonywana przez niego praca nie ma nic wspólnego z mikrobiologią: „Specjalizację już dawno utraciłem, a do urzędowania przyuczyłem się, chętnie zmienilibym pracę na ciekawszą, nawet za mniejsze wynagrodzenie”.

Najgorzej (finansowo) wiedzie się tej grupie absolwentów, którzy bardzo chcieli pracować zgodnie ze swoją specjalizacją — zarabiają od 1500 do 2150 zł.

Są jeszcze ci, co na pracę czekają od wielu miesięcy.

POSREDNICTWO PRACY

W 1976 roku w Stołecznym Wydziale Zatrudnienia zarejestrowało się 47 osób. Dotychczas zatrudniono metodą „wyzebrwania etatu” 20 osób (w tym: 4 osoby kształcą się na studiach doktoranckich, 10 osób pracuje w instytucjach naukowych, pozostałe 6 osób pracuje w laboratoriach przemysłowych, szkole itp.). Nadal jednak w tzw. czynnej karcie zarejestrowanych jest 27 biologów, w tym dwie osoby, które ukończyły studia, uzyskując dyplom z wyróżnieniem. W grupie biologów poszukujących pracy są specjaliści botanicy, zoologowie, mikrobiologowie i biochemicy. Kartoteki zapelnione są licznymi zapiskami typu „obietowano etat po 15”, „w styczniu zadzwonić do instytucji X” itp.

W Stołecznym Wydziale Zatrudnienia jestem przypadkowym świadkiem rozmowy przedstawicielki działu kadr jednego z warszawskich zakładów pracy z pracownikiem wydającym skierowania:

— Prosimy o skierowanie dla pani X, właśnie uzyskała pozwolenie dziekana na podjęcie pracy...

— Ale nie ma jeszcze dyplomu. A my mamy tu wiele osób, które już ukończyły studia i od paru miesięcy czekają na pracę. Wydamy więc skierowanie dla kogoś, kto ma już dyplom...

— Ale nam bardzo zależy na pani X.

— Niestety, nie możemy wydawać skierowania osobom jeszcze studiującym w sytuacji, kiedy wiele osób już po studiach czeka na pracę.

— To proszę skierować mężczyznę!

— Zakład chce zatrudnić kobietę, dlaczego więc my mamy kierować mężczyzną?

— Jeśli kobiecie — to panią X, tak życzy sobie dyrektor...

Prywatne pośrednictwo niekoniecznie musi być czymś, co można jednoznacznie negatywnie ocenić. Występuje na całym świecie. Niekiedy może służyć jak najlepszym wykorzystaniu wiedzy i kwalifikacji. Nie powinno jednak być regułą.

Może jednak trudność z uzyskaniem pracy wynikać z niechęci absolwentów do pracy na tzw. prowincji? Otóż nie. W informatorze Ministerstwa Pracy, Plac i Spraw Socjalnych o wolnych miejscach nie ma ani jednego zapotrzebowania na biologa, nie tylko w Warszawie, ale i w całym kraju. Nawet w szkolnictwie nie ma dla nich pracy.

„W akcie rozpacz pisałem do ponad 10 inspektorów oświaty z prośbą o skierowanie do pracy w wiejskiej szkole. Odpowiedział tylko Inspektorat Oświaty w Suchoj Biskupiej, proponując nauczanie biologii i matematyki w IV klasie wiejskiej szkoły podstawowej. Niestety, nie było tam stałego etatu, tylko kilkumiesięczne zastępstwo” (z listu absolwentki UW z 1973 roku).

Z SIATKĄ NA MOTYLE

W Stołecznym Urzędzie Zatrudnienia twierdzą, że biologowie nie są i nie będą potrzebni. Bieżące zapotrzebowanie powstające w wyniku ubytku naturalnego — dowodzą — można będzie wypełnić przez co najmniej 15 najbliższych lat tymi, którzy są już wykształceni.

Natomiast ze wstępnego rozpoznania potrzeb kadrowych do roku 1980 wykonanego przez Ministerstwo Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska wynika, że resort ten będzie potrzebował około 20 biologów. Kiedy — nie wiadomo. Półki co resort nie zatrudnia ani jednego biologa. Ochroną środowiska zajmuje się inżynier, ekolog — leśnik.

Półowa zakładów przemysłowych, które notorycznie płać wysokie kary za dewastację środowiska, nie zatrudnia też ani jednego specjalisty do spraw ochrony przyrody. W jednym z dużych zakładów przemysłowych zatrudniono wprawdzie biologa — teoretycznie do prac związanych z działalnością na rzecz ochrony środowiska, faktycznie do pisania sprawozdań, z których by wyni-

kało, że jest dobrze. „Ponieważ — pisze ów biolog — nie jest dobrze, więc staram się nic nie robić, bo to bardziej uczciwie. W ten sposób mniej szkodzi, a zakład i tak ma zaplanowane w kosztach bieżących kary za zanieczyszczanie środowiska”.

Ile więc biologów potrzeba nam naprawdę? W tym roku? W następnym? Za lat pięć? Nikt na te pytania nie umie odpowiedzieć.

Wśród biologów rozpowszechnione jest przekonanie, że potencjalni pracodawcy nie bardzo wiedzą, co biologowie umieją i do czego są przygotowani. O ich kwalifikacjach wiedzą często tyle, że „biolog to taki facet, który chodzi z siatką po polach i łapie motyle”.

Wprawdzie w 1972 Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki opracowało informator o wykształceniu i przygotowaniu zawodowym absolwentów różnych specjalności i kierunków, trudno jednak powiedzieć, czy pomaga on w racjonalnym zatrudnieniu, czy tylko zdobi półki w gabinetach kadrowców.

Doc. Z. Andrzejewski z Instytutu Kształtowania Środowiska podkreśla, że u nas nie ma tradycji w zatrudnianiu biologów:

„U nas panuje powszechne przekonanie, że wszystko zorganizują inżynierowie. A inżynierowie, choć tworzą nowe środowiska, zupełnie nie wiedzą, jak funkcjonuje przyroda. W ośrodkach badania i kontroli środowiska bada się np. czystość wody pod względem technicznym a nie biologicznym. Wiemy więc, że woda jest brudna. Powinniśmy jednak wiedzieć dokładnie, jak na te wszystkie zmiany reaguje świat żywy. Wbrew pozorom, nawet podświetlenie drzew nie jest sprawą bagatelną, gdyż może wywołać zakłócenie rytmu biologicznego drzew”.

Biologowie są więc potrzebni nie tylko w zakładach farmaceutycznych i przetwórstwa spożywczego, w stacjach weterynaryjnych, stacjach ochrony roślin lecz także w zakładach zieleni miejskiej. Ponadto we wszystkich biurach projektowych związanych z budową osiedli, kolei, dróg, fabryk itp.

CZY NAPRAWDĘ ZA DUŻO?

Czy na rynku pracy biologów mogą zająć jakieś korzystne zmiany? Czy nauczymy się lepiej i skuteczniej korzystać z ich kwalifikacji? Czy rozwijający się przemysł zainteresuje się konsekwencjami zmian, jakie wprowadza w warunkach naszego życia? Czy wydzieli obszary działań, które wymagają współpracy inżynierów z biologami?

W każdym roku przyjmują się na studia biologiczne ponad 1000 osób. W świetle tego, co przedstawiłem, musi nasunąć się pytanie: Skoro nie ma pracy, to po co tak dużo kształcić tych biologów? Biologia przecież — to nie sztuki piękne. Jeśli ktoś wykształcił się w sztukach pięknych, w humanistyce, może sobie pozwolić na wykształcenie prywatnie, dla siebie — korzyści społeczne z tego faktu, przy niskich kosztach kształcenia, są znaczne.

Biologia zaś jest bardzo kosztownym kierunkiem studiów (małe grupy studenckie, aparatura, odczynniki itp.) i przygotowuje do konkretnego zawodu. Zatrudnienie absol-



Fot. S. ZUBCZEWSKI

wentów tego kierunku niezgodnie z wykształceniem jest równoznaczne z marnotrawieniem poważnych środków społecznych, powoduje też niepowetowane straty jednostkowe.

Czy jednak racjonalne byłoby drastyczne decyzje dotyczące ograniczenia kształcenia biologów? Kto odpowiadałby za to uczynić?

Limity przyjęte na studia dostosowuje się do tzw. pensum dydaktycznego zatrudnionych pracowników naukowo-dydaktycznych. Obniżenie limitów przyjęte oznacza jednocześnie — zwolnienie wielu wysoko wyspecjalizowanych ludzi z uczelni z ogromną stratą dla nich samych i dla nauki. Szkoły wyższe zabiegają więc o utrzymanie limitów przyjęć.

Przed kilkoma laty prof. Jan Kaczmarek mówił o konieczności stworzenia w szkołach wyższych takiej sytuacji, kiedy pewna część pracowników (około 20 proc.) byłaby okresowo zwalniana od zajęć dydaktycznych, po to, aby prowadzić badania, kształcić się w innych ośrodkach itp. Szczególnie potrzebne jest to w naukach eksperymentalnych, gdzie nie można dobrze kształcić studentów i kadry, jeżeli nie prowadzi się badań, nie utrzymuje kontaktów z różnymi ośrodkami naukowymi. Teraz już nie wraca się

do tej koncepcji, choć nikt nie udo- wodnił, że jest ona niesłuszna.

Isiata sprawy polega jednak chyba nie na ograniczeniu liczby studentów na wydziałach biologii — lecz na wytworzeniu warunków, w których gospodarka wchłonie ich kwalifikacje. W tej chwili np. zwiększa się szybko limity przyjęć na studia rolnicze. I nie wiadomo, czy po pewnym czasie specjalści z tego zakresu nie znajdą się w takiej samej sytuacji, w jakiej dziś znaleźli się już chemicy, fizycy, biologowie. Może więc zamiast popiechnie kształcić inżynierów rolnictwa (cykl kształcenia trwa kilka lat) lepiej byłoby w krótkim, kilkumiesięcznym cyklu przygotować do podjęcia pracy w rolnictwie absolwentów kierunków przyrodniczych, poszukujących pracy lub zatrudnionych niezgodnie z wykształceniem.

Możliwości szkolnictwa wyższego są obecnie w naszym kraju tak duże, że przy właściwym, w porę dokonanym rozpoznaniu potrzeb kadrowych, są w stanie sprostać tym zapotrzebowaniom. Sprawa zasadnicza nie jest więc to, jak zwiększać liczbę specjalistów z wyższym wykształceniem, lecz jak racjonalnie wykorzystywać ogromny potencjał wiedzy i kwalifikacji wykształconych kadr.

ELEKTRONIKA I ELEKTROTECHNIKA W DOMU

W ostatnich latach obserwuje się w krajach zachodnioeuropejskich zmniejszenie tempa sprzedaży niektórych artykułów gospodarstwa domowego. Dotyczy to zwłaszcza tych artykułów, w których stopień nasycenia rynku jest bardzo wysoki. Ocenia się, że bieżące zakupy tych artykułów spowodowane są głównie odnawianiem posiadanych zasobów.

Najbardziej popularnym artykułem gospodarstwa domowego jest żelazko elektryczne. Ponad 90 proc. (w Holandii, Szwajcarii i Wielkiej Brytanii prawie 100 proc.) gospodarstw domowych posiada ten artykuł. Bardzo wysoki jest stopień wyposażenia gospodarstw w lodówki — z wyjątkiem Hiszpanii — ponad 80 proc. Najwięcej gospodarstw

wyposażonych w lodówki jest w Holandii (93 proc.) i Szwecji (98 proc.). Wyposażenie gospodarstw domowych w odkurzacze kształtuje się w Austrii, Belgii i Francji na poziomie 70-80 proc., w RFN, Szwecji, Szwajcarii i Holandii ponad 90 proc. Wyjątkiem w tym przypadku są Włochy i Hiszpania, gdzie tylko 30 proc. gospodarstw posiada odkurzacze.

Bardziej zróżnicowana jest sytuacja w zakresie wyposażenia gospodarstw w pralki — od 60 proc. we Włoszech do 95 proc. w Holandii. Niski stopień wyposażenia gospodarstw występujący w Austrii i Szwajcarii — poniżej 50 proc. — jest spowodowany głównie wysokim poziomem rozwoju usług pralniczych. Jeszcze większe zróżnicowa-

nie występuje w przypadku kuchenek elektrycznych. Bardzo niski jest stopień wyposażenia gospodarstw w Holandii — 5 proc., w Belgii, Francji i Włoszech — poniżej 30 proc. Najwięcej kuchenek elektrycznych posiada gospodarstwa domowe w Szwajcarii (74 proc.) i Szwecji (prawie 100 proc.).

Artykułami cieszącymi się dużym popytem w ostatnich latach są zamrażarki i w mniejszym stopniu maszyny do zmywania naczyń. Najwyższe wyposażenie gospodarstw w zamrażarki występuje w Szwecji (88 proc.), ustaliliśmy w RFN (88 proc.), a także w Belgii, Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Ho-

landii i ostatnio w Hiszpanii. Maszyny do zmywania naczyń nie są jeszcze artykułem zbyt popularnym, tylko w najbardziej rozwiniętych krajach niespełnia 10 proc. gospodarstw domowych posiada ten artykuł. Z innych artykułów gospodarstwa domowego dużą popularnością cieszą się miksery — w Wielkiej Brytanii, Włoszech i Hiszpanii około 40 proc., w Austrii, Belgii, Holandii i Szwajcarii — ponad 70 proc. gospodarstw jest wyposażonych w ten artykuł. Popularne w wielu krajach są również sokowirówki, najbardziej we Francji — 25 proc.

Interesującą obserwacją dostarcza analiza stopnia wyposażenia gospodarstw domowych również inne artykuły. Na przykład stopień wyposażenia gospodarstw w ekspresy do kawy nie przekracza 30 proc., natomiast wyposażenie w elektryczne młynki do kawy z wyjątkiem Wielkiej Brytanii jest bardzo wysokie — w Austrii, Belgii, Francji, RFN i Holandii — ponad 70 proc. Wyposażenie gospodarstw w opiekacze pieczywa jest zróżnicowane w poszczególnych krajach. W Austrii, Francji, Włoszech i Hiszpanii mniej niż 20 proc. gospodarstw posiada ten artykuł w Belgii i Szwecji ponad 50 proc., a w RFN — 70 proc.

Ponad 40 proc. gospodarstw domowych w poszczególnych krajach posiada gólarke elektryczną (najwięcej w RFN, Holandii, Szwecji i Szwajcarii — około 80 proc.) oraz suszarkę do włosów (najwięcej w RFN 73 proc.) i Szwajcarii (84 proc.). Koce elektryczne najbardziej popularne są w Wielkiej Brytanii i Szwecji — ponad 50 proc. gospodarstw wyposażonych jest w ten artykuł.

Wyposażenie gospodarstw w telewizory (wszystkich typów) kształtuje się na poziomie powyżej 70 proc. Najwięcej telewizorów posiadają gospodarstwa w RFN, Holandii i Szwecji i Danii — około 90 proc., i Wielkiej Brytanii — prawie 100 proc. Wyposażenie w telewizory kolorowe jest oczywiście znacznie mniejsze (poniżej 2 proc. we Włoszech i Hiszpanii), ale w takich krajach, jak: Wielka Brytania, Holandia, Szwecja i Szwajcaria już prawie 40 proc. gospodarstw jest wyposażonych w ten artykuł. Ograniczenie popytu na telewizory kolorowe w niektórych krajach wynika z wysokich cen.

60 proc. gospodarstw w Holandii, Szwecji i Norwegii posiada już ma-

gnetofoon kasetowy (najwięcej w Szwajcarii — 72 proc.). Wzrost sprzedaży magnetofonów kasetowych jest bardzo wyraźny w krajach o niskim stopniu nasycenia, zwłaszcza we Włoszech i Hiszpanii. Niski jest stopień wyposażenia gospodarstw w magnetofony szpulowe, z wyjątkiem Austrii i Wielkiej Brytanii nie przekracza on 10 proc. Gramofony najczęściej posiadają gospodarstwa w Holandii, Szwecji i Szwajcarii — ponad 60 proc., najmniej w Finlandii (21 proc.) i Portugalii (10 proc.). Sprzęt Hi-Fi najbardziej popularny jest w RFN, Holandii i Norwegii — ponad 20 proc., najmniej zaś w Finlandii i Portugalii — poniżej 5 proc.

Wyposażenie gospodarstw w radiodiodobiorniki tranzystorowe jest bardzo wysokie w poszczególnych krajach, najwyższe we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Szwecji, Norwegii i Szwajcarii — ponad 90 proc. Stopień wyposażenia w radiodiodobiorniki sieciowe jest znacznie niższy i nie przekracza 30 proc. Ponad 30 proc. posiadanych samochodów wyposażonych jest w radio samochodowe (w RFN i Szwecji — ponad 50 proc.).

I. R.

